

WIEŚ

tygodnik społeczno-literacki

Rok X

Warszawa, dnia 13 grudnia 1953 r.

Nr 50 (436)

WŁADYSŁAW UDALSKI

W REDAKCJI „GŁOSU GROMADY”

W POŁOWIE października, kiedy w kilku powiatach woj. łódzkiego uległ zahamowaniu planowy skup, redakcja „Głosu Różnorodnego” zorganizowała ekipy dziennikarskie, zaopatrzone w ręczne drukarnie — i pchnęła je na najbardziej zagrożone odcinki. Miejsa wziąć udział w wielkiej batalii o wypełnienie dostaw, redagując gazetki gromadzkie na miejscu.

*

16 października. Przyjechaliśmy do Prusinowic w pow. sieradzkim. Wioska, biorąc początek od zabudowań PGR, ciągnie się pół kilometra ku wschodowi, dalej rozgala się w dwie strony, aby utonąć w zaroślach nad rzeczką. Po kwadransie mieliśmy pierwszego „zwiadówce”. Wysoki, chudy chłop, w polataniej kapocie, z wiadrem w ręku obejrzał napis na samochodzie: „Odstawa zboża” i od razu zaczął, jak z nuty: — U nas, panowie, ziemia licha. Zboża nie ma. Co odrósł, mroz spalił. Jakby było, to tak...

Nazajutrz kiedy już cała wieś wiedziała, że przybyliśmy „robić gazetę”, ten sam chłop dopowiedział zastydzone: — A bo mówili, że po ukaraniu Zbiżewskiego i Kubiaka, będą miażdżili jeździć samochodem i zboże zabierali.

*

Nadchodził jesienno, wczesny zmierzch. W nadziei redakcyjnej brał udział sołtys i... troje szkolnych dzieci. Przygnała je ciekawość. Z niesłabnącą uwagą wpatrywały się w kaszy drukarskie i pedałow maszynę; z nie mniejszą łowili każde nasze słowo.

Słów tych na początku narady nie było wiele. Rozważaliśmy w myślach wiadome już nam fakty. Przypomniałem sobie niedawne ostrzeżenie sekretarza KG z gminy Bortochów: „Józef Niciejewski, z zawodu kolejarz, wyrażał czujność w zwrotach, w których pobrzmiewało albo kolejarzki pedantyzm (siedem razy odmierzył, nim raz odmierzył) albo czuj-duch zwrotniczego (jedem fałszywy krok, a całą sprawę zaprzeczysz)”. Odmierzaliśmy więc „siedem razy”...

„W Prusinowicach większość średniaków, upelnorolnieni z reformy. Dostali ziemię dziedzic Krysianowski. Rokrocznie wywiązywali się z dostaw. Polowa gromady pracuje w przemyśle łódzkim. Kształci dzieci, dorabia na miejscu w młynie i gorzelnii.

„Jeden fałszywy ruch... taki właśnie popełniło kolegium w gminie Bortochów. Sekretarz Niciejewski wytknął go ostro.

Prezydium GRN nie oddzieliło kulaka Świątkę od reszty oskarżonych. Dlatego chłopci na rozprawie milczeli.

W Prusinowicach ukarany został grzywną Adam Kubiak, „dziedzic” na 12 ha. Miał odstawić 56 q, odwoził 12, podobnie J. Zbiżewski, który w ubiegłym roku oszukiwał państwo i teraz znów próbował. Z rozłożonej listy zaczęłam czytać opóźniających się w dostawach zasobnych średniaków.

— Stanisław Pietras zalega — 24 q.

— Franciszek Szymczak — 20 q.

— A Szymczak, proszę pana, już trzeci rok kształci syna na technika w Pabianicach — wyrwał się z trójki dziecięcej Jasio Kujawa. — A Urbańskiego córka będzie nauczycielką, a Urbański już dawno zboże oddał.

— Jan Rulczak — 16 q.

— Rulczak ma dwie córki w Łodzi, w fabrykach — znów informował Jasio Kujawa.

— Stefan Kowalski...

— Frątczak...

— To mój tata — wyznała Marysia, trzecia z trójki.

Przyjrzałem się tym bystrym, zuchowatym podrostkom. — Ho, ho, informacje jak od korespondentów, jeszcze tylko artykuł napisać a byłoby z was redaktorzy.

— U nas w szkole jest radio. Uczyliśmy się piosenek i o różnych krajach. O gospodarstwie też były pogadanki, tośmy rodzicom opowiadali. Książki ładnie w radio czytali. Ale coś się popsuło i nie gra. To my prosimy, żeby w gazecie napisać: niech nam Komitet Rodzicielski naprawi radio... Gazety to my możemy roznieść po chałupach.

— Dobrze, będziecie kolporterami. Zbierz Jasie, jak najwięcej kolegów i koleżanek. Pojutrze rano roznieściecie.

*

17 października. Zbieramy informacje na wsi. Przetwarzamy w odstawkach ciężką się poważaniem. To ważne: mogą zostać agitatorami. Urbański ma trzy córki w przemyśle łódzkim, czwarta zostanie nauczycielką. Urbański powinien przekonać Kowalskiego i Rulczaka.

Sołtys Łukasiewicz. Ten zadął niedbalym rolnikom trudny orzech do zgryzienia. Posiada 2,7 ha, rodzinę dużą: żonę i sześciu drobnych dzieci. Wiosną rzeczka wylała i wymoczyła mu żyto na polu. Ale sołtys głowy nie stracił. Zaoferował pole, wziął kredyt, kupił nawozów sztucznych i posiał owies. Wyrósł, jak bor. Odstawił 125 proc. planu.

Witosławska (przetwarzająca w skupie) zwróciła nam uwagę na kul-

turalne zaniedbanie gromady. Kino „zapomniało” o Prusinowicach; odczytów nie ma; biblioteki i świetlicy też. „Chłopi całą niedzielę łowią ryby albo rzną wieczorami w karty, a kobietom brak jakiegokolwiek godziwej rozrywki i nauki choćby dla gospodarstwa domowego. Mamy z gorzelnii wywar, z buraków liście do tuczu świń; pono kukurydza dobra dla drobiu ale większego wyrobieńia nam brak”.

*

18 października. Dzieciarnia czeka na odbiór gazet, tytuł: „Głos Gromady”. Sensacją dla nas i dla dzieci artykuł, jaki wysłała ośmiemka z 7-ej klasy. Wczoraj nam go wręczyli. Poszedł na pierwszej kolumnie.

List dzieci szkolnych do gospodarzy naszej gromady. „My uczniowie szkoły podstawowej w Prusinowicach składamy serdeczne podziękowanie obywatelom:

Marii Witosławskiej, Pawłowi Urbańskiemu, Janowi Łukasiewiczowi i Ignacemu Kolasie za to, że dobrze wywiązywaliśmy się z obowiązków dostaw zboża dla Państwa. Rozumiemy, że kto odstawił zboże, ten dał Ojczyźnie chleb, a kto nie odstawił, ten ją skrzywdził.

Z naszej wsi wielu ludzi pracuje w łódzkich fabrykach, nasi bracia i siostry uczą się w szkołach, oni potrzebują chleba. Ale niektórzy gospodarze, jak: Jan Zbiżewski, Józef Maciaszek, Stefan Kowalski, Franciszek Szymczak i inni ociągają się ze sprzedażą zboża Państwu, przynoszą wstyd gromady.

W NUMERZE:
L. STAFF — Wiersze; B. LIPINSKA — Droga rozwoju — współpraca z plestykami;
I. MADEJSKA — Odradza się zagubiona sztuka; R. HŁADKO — Recytatorki wiejskie;
J. MACIEJEWSKA — O poezji Leopolda Staffa; CZ. SCHABOWSKI — Trudny początek;
T. ATKINS — Szandar nad „La Pignone”; L. BAKUŁA — O kolektywach czytających;
ST. KRĄKOWIAK — Budowa kina to dopiero początek, a teraz... E. POCHRON — Na trybunie;
W. STĘSLICKA — MYDLARSKA — Jak powstał człowiek, K. JESION — Wieś na nowym etapie;
J. TOKARCZYK — O upolitycznieniu pracy świetlicy wiej; CZ. MICHAŁAK — „Zorany Ugór”;
J. MAZAN — Kłopoty z programem nauki o literaturze;



W dniu 6 grudnia 1953 r. zmarł jeden z najwybitniejszych polskich poetów
KONSTANTY ILDEFONS GAŁCZYŃSKI

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

NA ŚMIERĆ K. I. GAŁCZYŃSKIEGO

Zegnaj, Konstanty mój kochany,
Zar-ptaku, który nam śpiewałeś,
Co niespodzianie przyfrunąłś
I niespodzianie odleciałeś

Po Tobie jasność nam została,
Choć zniknęła za żalobną chmurą.
Ta jasność — Twoja pieśń rzucona
Na ziemię jak złociste pióro.

A podniósł ją nasz kraj ludowy,
Co Cię do pieśni czystej natchnął,
Z którego zaczerpnąłś całe
Ostatnie swe serdeczne światło.

Zeby od mroku zapomnienia
Ocalić wszystkie nasze sprawy,
Chmurę na czoło, kwiaty w oknie,
Serce i każdy dom Warszawy.

Bo to poety rzecz — rozpałać
Płomień pamięci w nieskończoność,
A rozpalisz go, samemu
W tym nieśmiertelnym ogniu spłonąć.

Zegnaj, Konstanty mój kochany,
Ty — skrzypce z najczulszego drzewa:
Choć ogień skrzypce te spopielił,
Ich popiół nadal ludziom śpiewa.

Wł. Udański

Błyskawica

Zadzim, dnia 29 października 1953 r.



Ruszyli całą gromadą. Niezapomniany to był widok. 34 wozy naladowane wo-
rami ciągnęły się na półkiłometrowej długości. Nad nimi powiewał transparent:

„Gromada Prusinowice wiezie chleb dla Ojczyzny”.

Na przedzie, za orkiestrą jechali ci, co już wywiązyali się ze swych obowiązków —
JAN ŁUKASIEWICZ, BRONISŁAW PAWŁOWSKI, IGNACY PAWLAK, ANTONI

KOPECYŃSKI. Za nimi znowo podciął konie ci, co niedawno jeszcze, otumanieni wrogimi plotkami —
ocagali się z odstawa. Jechali SZYMCHAK, KOWALSKI, SOBOWSKI i inni. W ostatniej chwili przyłączyli
się do nich MARCZAK, MATUSIAK i PIETRAS. Pociągająca ich gromada Prusinowice wiozła 120 m
zboża dla Państwa

Część i uznanie należy im się za to!

Ale na tym nie wolno poprzestać. Trzeba do końca wypełnić swe obowiązki.

Należy myśleć o nowym, lepszemu życiu w gromadzie. Siła rąk chłopskich znaj-
duje się we wspólnej pracy.



DYSKUSJA NAD TEZAMI IX PLENUM KC PZPR

GŁOS BIBLIOTEKARZA

JAN WRÓBLEWSKI

W IERZE, że dyskusja, którą towarzyszyło, rozwijała wokół tego, co wyświadczyli szeregi nowych ważnych zadań, pomogło kierownictwu partii i wszystkim jej organizacjom we właściwym ustawieniu tych zadań i w dalszej ich realizacji” (Bolesław Bierut).

Niejeden pracownik kultury, przeczytawszy tezy, powie: przecież mówi się o nich przeważnie o rolnictwie. Jest to pogląd niesłuszny. Gdy mówi się o bazie, nie można przemilczeć współzależności naddubowy — powiedział tow. Stalin.

Niedocenianie tej współzależności daje się szczególnie zauważyć na szczeblu gromad, gmin i powiatów. Wina za to obciąża pracowników kulturalnych i władze terenowe; nie orientują się oni, jaką rolę odgrywa kultura w tworzeniu nowego życia.

Prezydium rad narodowych traktują sprawy kulturalne i samych pracowników, jako „zło konieczne”. Interesują się nimi zazwyczaj tylko wtedy, gdy jednostka nadrzędna zażąda sprawozdania z tej dziedziny, a więc raz lub dwa do roku.

Pracownicy aparatu kulturalnego (chodzi mi szczególnie o bibliotekarzy) często nie orientują się jakie są ich zadania, ograniczając się do mechanicznego wypożyczenia książek i jakiejś takiej dekoracji lokalu. A przecież Lenin nazwał bibliotekarzy „żołnierzami rewolucji kulturalnej, która objęła nasz kraj i bez której socjalizm nie zbudujemy”.

Jerzy Putrament w dyskusji nad tezami mówił o fantastycznych cy-

frach nakładu książek w Polsce Ludowej. Od nakładu jednak do czytelnictwa droga jest daleka.

Tysiące okrytych kurzem książek spoczywa na półkach naszych bibliotek. A wieś chce czytać. Trzeba tylko te książki dostarczyć na wieś i przekazać czytelnikom.

Szczególnie po macoszemu traktuje się książki popularno-naukowe i rolnicze. A wieś ich najwięcej pragnie.

Bibliotekarz z terenu opowiadał mi o werbunku do IV etapu konkursu czytelników wiejskich w gm. Biała, pow. Pisz. Wieś na ogół chętnie zgłasza swój udział, ale zdarza się i wypadki negatywne. Oto w pewnej gromadzie jedna z gospodyń sama nie chciała wziąć udziału w konkursie i nie dopuściła do uczestnictwa męża. Wtedy bibliotekarz zaczął z innej beczki:

— Czy świnie i kury wam zdychają — zapytał.

— Zdychają i to jeszcze jak!

— Chcielibyście temu zapobiec?

— pytał dalej szczerzy bibliotekarz.

— A kóżby nie chciał!

— W książkach konkursowych są takie, z których można się dowiedzieć, jak zapobiec chorobom świń i kur.

Jaki był rezultat? Wspomniana gospodyni zapisała się na konkurs i czym prędzej wysłała męża do punktu bibliotecznego po książki.

Komentarze zbędne.

Tow. Jan Klecha powiada: „Chłop do socjalizmu żywiłowo nie przyjdzie. Idąc do chłopa, wiążąc się z nim w walce o wzrost produkcji rolnej, musimy go wychować... Na nas przypadło to zadanie, z którego niestety nie zawsze się wywiązujemy. Idziemy do chłopa, przema-

wiamy do niego częstokroć niezrozumiale — zamiast wykazać mu słuszność naszej polityki faktami wiążącymi z życia: takimi, które widzi własnymi oczyma”.

Tow. Klecha słusznie podniósł konieczność stworzenia specjalnych bibliotek agronomicznych; zanim jednak do tego dojdzie, jest możliwość natychmiastowego rzucenia w teren masy książek rolniczych, zalegających półki bibliotek wojewódzkich i powiatowych.

Tezy stawiają wielkie zadania przed inteligencją pracującą na wsi. „Nauczyciele, pracownicy służby zdrowia, agronomowie, zootechnicy, mechanizatorzy i pracownicy instytucji kulturalnych powinni odegrać poważną rolę w walce o wzrost produkcji rolnej i o socjalistyczną przebudowę wsi”.

Jeżeli chodzi o powiat Pisz, to ma on większe zadanie i trudniejszą robotę w podnoszeniu produkcji rolnej. Gleba jest tu lekka, piaszczysta. Dlatego szczególnie tu trzeba wzmocnić walkę o większe urodzaje, o wzrost produkcji rolnej, by pokazać chłopom mało i średnio-rolnym, jak można za pomocą metod naukowych osiągnąć większe plony i obalić mit o coraz mniejszej urodzajności gleby. Aby podnieść hodowlę, trzeba zachęcić chłopa do uprawy koniczy i pasz treściwych, trzeba pokazać iż osiągnięcia rolników radzieckich, to nie wymysł książek, ale fakt namacalny.

Revolucja kulturalna nie ominęła pow. Pisz. Gdy w r. 1949 mieliśmy 4 gminne biblioteki i 18 punktów bibliotecznych, dziś mamy 10 gminnych i 65 punktów bibliotecznych oraz 20 punktów specjalnych,

Mamy już w terenie przykłady dobrej pracy kulturalnej. Świetlica gminna w Starych - Gutach urządza pogadanki na tematy rolnicze, ilustrując je przezroczkami. Skupia ona zarówno członków spółdzielni, jak i chłopów indywidualnych. Do- brze pracują tam zespoły artystyczne i czytelnicy. Świetlica pogłodo- wo wykazuje wzrost dniówki obra- chunkowej z każdym rokiem, co wiąże się ze wzrostem produkcji rolnej w spółdzielni. Świetlica żyje życiem gromady i uczestniczy w każdej kampanii politycznej i gospodarczej. W czasie żniw zmobilizowała zetempową brygadę szturmową do pomocy w zbiorach spół- dzielni.

Wiosną spółdzielcy podjęli zobowiązania wykonania siewów przed terminem. Kierownik świetlicy ob. Zieliński umieszczał zobowiązanie w „Błyskawicy”. To tak zmobilizowało spółdzielców, że pracowali do późnej nocy, byleby przekonać chłopa indywidualnych, że co zaplanują potrafią zrealizować.

Tow. Stanisław Krupa w dyskusji powiedział: — Aby przyspieszyć wzrost produkcji rolnej, musimy w większym niż dotychczas stopniu wykorzystywać filmy, odczyty, szkolenie zawodowe, popularyzację osiągnięć spółdzielni produkcyjnych, przodujących chłopów — dla przekonania wsi o możliwości podnie- sienia dotychczasowego poziomu gospodarczego. — Chciałbym dodać, że istnieje jeszcze jeden środek: książka. Książka rolnicza i książka z dziedziny literatury. Mamy bardzo ładnie i przekonujące książki rol- nie; mówią one o walce chłopa z naturą, o radzieckim nad podniesie- niem plonów, o mistrzach urodzaju.

Chłop z natury jest nieufny; czę-

sto przedź-zaufa książce niż agita- torowi. Książka porwie go do czy- nu. Jest mu ona bardzo bliska, bo mówi o takich ludziach, jak on sam. Dlatego nie wolno nam lekceważyć tej bezpośredniej propagandy.

Jesien 1953 r. w pow. Pisz na odcinku kulturalno - oświatowym przyniosła pewne sukcesy. Zazna- czył się ruch w używaniu świe- tlic, zespołów artystycznych, przede wszystkim zaś w tworzeniu zespo- łów czytelników zorganizowanego przez ZSCh IV etapu konkursu czy- telniczego. Obecnie mamy ponad 130 zespołów czytelniczych, w porówna- niu z zeszłym rokiem jest to osią- gnięcie bardzo duże. (W III etapie nie mieliśmy ani jednego zespołu). Łączna liczba zwerbowanych chło- pów do konkursu wynosi ponad 2700, stanowi to około 70 proc. wy- konanego limitu.

W zespołach czytelniczych między innymi będziemy czytać książki rol- nicze i przeprowadzać dyskusje nad ich treścią, co niewątpliwie wpłynie na podniesienie wydajności gospo- darstw chłopskich w powiecie.

Postaramy się lepiej wykorzystać dla szerokiej propagandy agono- micznej nasze powiatowe domy kul- tury, radiowęzły, świetlice, zespoły artystyczne dla upowszechnienia wiedzy rolniczej. Będziemy szerzej wykorzystywać nasze szkoły, biblio- teki, zespoły czytelnicze.

Wspólne przedyskutowanie tez IX Plenum przez bibliotekarzy pow. pi- skiego, zobowiązanie do wzmocnienia naszej pracy na odcinku kulturalno- oświatowym, dążenie do ściślejszego jej powiązania z życiem gospodar- czym — oto środki już przez nas stosowane do wykonania tego zada- nia.

Jan Wróblewski

OD REDAKCJI

Następny numer tygodnika

„Wieś” z datą 20 — 27 grud-
nia ukaże się w dniu 18 bm.
w zwiększonej objętości.

Cena numeru 1 zł. 50 gr.

* TEZY * PRZEDZIAZDOWE

Wiejskie światła

Jeden z moich znajomych z racji swoich obowiązków dużo podróżuje po kraju. Zdarzyło się, że któregoś wieczoru jechał pociągami po trasie, której dłuższy już czas nie przemierzał. Że pora była wieczna i spać się jeszcze nie chciało, wyszedł na korytarz, by odczekać strumieniem świeżego powietrza, upadającego przez otwarte okno. Znał dobrze te okolice, a jednak poczuł wstępną, że zaczyna tracić orientację, że pod powiekami cisną się jakieś nowe wrażenia, których pamięć dotychczas nie zanotowała. Trwało to dłuższą chwilę, nim zorientował się, że tymi nowymi wrażeniami były liczne, jasne światła, wesoło rozświetlające w mijających jedną za drugą wsiach. Światła, których niedawno jeszcze na całej długiej trasie trudno byłoby szukać.

Elektryfikacja zmienia nie tylko nocne oblicze wsi. Jest także coraz częściej przejawem i motorem tych wielkich przemian, którymi rewolucja z każdym dniem przekształca życie naszego kraju. I niekoniecznie dla umysłowania sobie tych przemian, trzeba od razu sięgać do tak ważkich faktów, jak 6,5 miliona ha ziemi, rozdzielonych w ręce chłopów, pomoc kredytowa i rzeczowa państwa w ziarnie, bydło, budulce itp. Warto natomiast przypomnieć inne fakty. Na przykład podatki! Któż potrafi wyliczyć nazwy blisko stu podatków ciążyących za kapitalizm, jak kamień grobowy na gospodarce chłopów pracujących?

Rozumie się, że nie można w żaden sposób obecnego sprawiedliwie rozłożonego i niewysokiego podatku porównać z przedwojenną grabieżą. A mimo to również i w tej dziedzinie chłopci doznają poważnej pomocy władzy ludowej. Tezy do dyskusji przed IX Zjazdem KPZR proponują bowiem: „zmniejszyć, poczynając od roku 1954 progresję podatku dla gospodarstw chłopskich, na niektórych słabiej zagospodarowanych terenach, uprowadzić indywidualne ulgi podatkowe dla gospodarstw, których stan zagospodarowania jest szczególnie słaby i które zobowiązuje do osiągnięcia w określonym terminie rotacyjnego stanu zagospodarowania”.

I to jest właśnie ta humanistyczna, piękna, głęboko ludzka istota naszego państwa. Nieśmiałe pomoc... Zagroda chłopska przestaje być obiektem wysiłku władzy burżuazyjnej, która pozwalała jej istnieć dopóty, dopóki można było z niej cokolwiek wycisnąć. Zagroda chłopska stała się natomiast przedmiotem troski i pomocy władzy ludowej państwa. Pomocy w uzyskiwaniu coraz pomyślniejszych rezultatów gospodarczych, w podnoszeniu produkcji rolniczej i zwierzęcej — by tym samym, przede wszystkim, zaspokoić rosnące potrzeby ludzi pracy w całym kraju.

Obecna produkcja rolnicza jest w przeliczeniu na 1 mieszkańca o 1/3 większa niż przed wojną. Tezy w krótkich, niemal suchych słowach, porównują te sukcesy z dwudziestoletnim rządów obzarności — kapitalistycznych, którym nigdy nie udało się osiągnąć produkcji z r. 1913.

Dzisiejsza Polska nie jest tym samym organizmem, który przestał się rozwijać i niezdolny był do kroczenia naprzód. Przypomina raczej — by posłużyć się znany porównaniem wicepremiera Mincina — młodego człowieka, który nadzwyczaj szybko rośnie i ciągle wszystkiego mało. Potrzebuje on coraz to więcej najrozmaitszych artykułów, których przy jego tempie wzrostu nie zawsze można na czas dostarczyć. Dotyczy to szczególnie rolnictwa. Stąd też nie poprzestajemy na osiągnięciach naszej gospodarki rolnej, ale mówimy: mało! mówimy: źle! — bo kraj nasz nie ma pod dostatkiem artykułów rolniczych, a fakt ten utrudnia i hamuje jego dalszy wzrost.

Widać z tego, że potrzeby młodego, rozwijającego się organizmu nie były równomiernie zaspokajane. O ile przemysł dał mu w ciągu bieżącego roku ponad dwukrotnie więcej niż w roku 1949, to rolnictwo zdobyło się jedynie na podwyższenie swojej produkcji o 9%. Tezy więc domagają się od rolnictwa zwiększenia produkcji przynajmniej o 10% — i to w ciągu najbliższych dwóch lat. Dla realizacji tego celu państwo przenosi szeroki wachlarz najrozmaitszych środków. Popłyną na wieś jeszcze szerszym strumieniem kredyty i nawozy, materiały budowlane i maszyny rolnicze.

Ale byłoby głębokim błędem ograniczanie też tylko do dziedzin produkcji dóbr materialnych. W toczącej się obecnie dyskusji przedziałowej pisze na łamach „Trybuny Ludu” gospodarująca indywidualnie chłopka, Janina Zaleska, z grom. Stara Rawa w pow. skierniewickim:

„Przyznam się, że jeszcze za mało umiem i mało umieją nasi chłopci. Nawozy i siemiaki — to jeszcze nie wszystko”. Jest to niestety ważna uwaga. Tezy wzmogły pęd do nauki, do książki i gazety, która pomoże w gospodarowaniu i pokaże jak lepiej i pełniej żyć. Postawili one zatem jeszcze wyższe zadania przed bibliotekami i świetlicami, kinami wiejskimi i radiostacjami, zespołami artystycznymi i oświatowymi.

Zbliża się wieczór. W co czwartej wsi w Polsce ręce wolne od ciężkiej pracy fizycznej zapalają jasne światła elektryczne, sięgając po gazety lub książki. Za dwa lata będzie tak w co trzeciej wsi. Mówią to Tezy.

K. Z.

W Moskwie na naradzie redaktorów i kierowników wydziałów rolnych prasy obwodowej, krajowej i republikańskiej, zwołanej przez KC KPZR, wygłosił przemówienie sekretarz KC KPZR — N. S. Chruszczow.

Poniżej zamieszczamy fragmenty tego przemówienia:

ZWIAZEK Radziecki ma niewyczerpane możliwości jak najszybszego rozwoju wszystkich działów rolnictwa, by w ciągu najbliższych lat zaopatrzyć w pełną ludność w artykuły żywnościowe, a przemysł lekki w surowce. Cała sprawa polega na tym, by możliwości te i rezerwy uruchomić, zorganizować walkę o całkowite ich wykorzystanie. W tej dziedzinie właśnie otwiera się przed prasą radziecką pole do szerokiej, głębokiej i wszechstronnej działalności.

„Należy stwierdzić, że organizacja pracy w świetle wymagań wysuniętych przez wrześniowe plenum KC Partii odbywa się jeszcze zbyt wolno. Dzienniki i czasopisma przedstawiają częstokroć sprawę tak, jak gdyby wszystkie zadania, postawione przez plenum Komitetu Centralnego zostały już rozwiązane. Taka niefrasobliwość może

tylko przynieść szkodę. Trzeba podjąć aktywną walkę z niedociągnięciami.

„Rola prasy w całej naszej pracy jest ogromna. Aby pomyślnie spełnić tę rolę, pracownicy dzienników i czasopism powinni głębiej wnikać w istotę nasuwających się zagadnień, pisać ze znajomością rzeczy, konkretnie. Obowiązkiem prasy jest — z całą ostrością odsłaniać niedociągnięcia w naszej pracy, obnażać braki i czynić to w ten sposób, by mobilizować ludzi do przewyżczenia tych niedociągnięć, podbudować szerokie masy pracujące do rozwijania zdrowej krytyki.

Zdarza się nieraz, że materiały w gazetach wyglądają malowniczo — sądząc z tytułów, wydawałoby się, że w gazecie jest wszystko, ale w gruncie rzeczy nie ma tam prawie nic. Spróbuj no powiedzieć redaktorowi takiej gazety, że nie oświecił tego czy innego tematu. Odpowie ci, że to nieprawda i od razu wymieni tytuły i artykuły dotyczące tych zagadnień. Ale czy wiele pożytku, czy wiele sensu mają niektóre artykuły, jeżeli nierozumiale jest, jaki cel stawia sobie redakcja, do czego zmierza ogłaszając ten czy inny artykuł lub korespondencję. Jeśli już redakcja postanowiła za-

brać głos w jakiejś ważnej sprawie, powinna przestudiować ją głęboko, aby ogłaszany w gazecie materiał był wyczerpujący i solidny, aby zwracał uwagę czytelnika, przynosił korzyść przewodniczącemu kołchozu, brygadziście, każdemu czytelnikowi, który naprawdę głęboko interesuje się rolnictwem. Od redaktora wymaga się umiejętności właściwego doboru współpracowników pozyskiwania dla dziennika lub czasopisma ludzi znających się na rzeczy. Powinien on sam rozumieć, jak trzeba rozwiązywać postawione zadanie, powinien umieć wyszukać ludzi myślących, wykorzystywać doświadczenia nagromadzone przez naród.

„Pracownicy dzienników i czasopism powinni dobrze znać, głęboko studiować zagadnienia, o których piszą. Wielu naszym gazetom przeszkadza krzykliwość, pogoń za szumnymi frazesami. Trzeba oczywiście umieć zatytułować artykuł tak, by nagłówek zwracał uwagę czytelnika, mobilizował, ale należy przestrzegać bezwzględnie reguły, że tytuł powinien odpowiadać treści artykułu, że materiał podany przez gazetę powinien być przekonujący, uzasadniony. Pracownicy gazet powinni umieć dobierać materiał treściwy, żywy, ciekawy i pouczający.

Trzeba zdecydowanie wypełnić z łanów gazet zakazanie szablony, utarte schematy, pisanie o wszystkim na jedną modłę. Oto gazety zaczęły umieszczać porównawcze opisy pracy dwóch kołchozów. Jest to dobra metoda. Trzeba jednak urozmaicać materiały, myśleć więcej o treści i formie podawania materiałów w dziennikach i czasopismach.

Pracownicy prasy powinni zawsze pamiętać, że dla skutecznej pracy gazet wielkie znaczenie ma autentyczność faktów, zgodny z prawdą opis zjawisk i wydarzeń, żywy i obrazowy język, urozmaicona forma podawania materiałów.

Nie mamy — mówi N. S. Chruszczow — silniejszego, skuteczniejszego oręża niż nasza prasa. Prasa — to najbardziej dalekoosiężna broń ideowa naszej partii. Jeżeli będziemy dobrze dobierać materiały dla dzienników i czasopism, będziemy mogli trafić w cel na odległość wielu tysięcy kilometrów, odsłaniać niedociągnięcia we wszystkich zakątkach naszego ogromnego kraju. Kto więc nie docenia prasy, osłabia nasze siły.

Trzeba głębiej, treściwiej, ze znajomością sprawy pisać o rolnictwie, o wcielaniu w życie uchwał wrześniowego Plenum KC KPZR.

Sprawy wielkiej dyskusji

SPOTKANIA

obejmująca chłopów i robotników, pisarzy i naukowców — dyskusja o Tezach IX Plenum KC KPZR, dyskusja przed II Zjazdem Partii. Na gazetowych kolumnach, w audycjach radiowych, na zebraniach ludzkiej swobodzie mówią o tym, jak zrealizować Tezy IX Plenum Partii. Jak zrobić, żeby było więcej jedzenia i więcej mebli, więcej książek i radioaparatów, więcej maszyn i więcej ubrań dziecięcych, aut i samolotów, garnków i kryształów, więcej szkół i kin, stadionów sportowych i teatrów. I mówią to ludzie z produkcji, z roli, z laboratoriów i scen teatralnych. Fachowcy spraw doczesnych.

Ładna historia — mógłby powiedzieć kaznodzieja z Hyde Parku. — Też mi wolność! Co to za wolność, która pozwala się im mówić tylko o coraz lepszym urządzeniu ziemskiego świata?

Nam się jednak wydaje, że zostawiając księżom w kościołach prawo do głoszenia tajemnic nieba, podstawowy obowiązek na ziemi — to dążenie do własnego szczęścia w życiu doczesnym. I temu, przekonaniu daje wyraz wielka dyskusja nad Tezami IX Plenum. Dyskusja, w której spotykamy się wyścisli.

*

W wielkiej dyskusji nad Tezami IX Plenum Komitetu Centralnego mówi się bardzo dużo o wsi. Kierownik Wydziału Ekonomicznego Komitetu Wsjołudźskiego w Bydgoszczy pisał niedawno o powołaniu przez grudniową organizację partyjną zespołów partyjnych, złożonych z robotników mieszkających na wsi z jednej gminy lub gromady. Podobną inicjatywę przedstawiają dyskutanci z Krakowa i Gliwic. Ale przede wszystkim mówią sa-

mi chłopci, zabiera głos inteligencja wiejska, aktywiści gminni, aktywiści ze spółdzielni produkcyjnych i PGR.

Przewodniczący spółdzielni produkcyjnej z województwa łódzkiego, Baluwas, pisał w „Głosie Robotniczym” o złej pracy POM, jako jednej z przyczyn zahamowania wzrostu spółdzielczości produkcyjnej jego terenu.

Sekretarz gromadzkiej POP, Ludwik Pakiet, ze szczecińskiego omawia rolę organizacji partyjnej w walce o wyższe plony, a agronom POM z kosińskiego poruszył w terenowej gazecie kwestię rezerwy w spółdzielniach produkcyjnych.

W dyskusji naukowej poruszyli już i sprawę kadr naukowo-rolniczych i sprawę rejonizacji produkcji rolniczej i indywidualnej. Inni zajmowali się bazą paszową swoich terenów i hodowlą. Padły głosy o doświadczeniach miczurinowskich w polskim rolnictwie. Narasta dyskusja z każdym dniem.

I oto czytającemu gazety jakieś nazwisko dyskutanta przypomina dawne lata. Któż to ten inżynier podpisany pod obszerną wypowiedź o budownictwie mieszkaniowym?

Racja, toż to kolega sprzed ćwierćwiecza niemal. Pamiętam — był blondyn, powolny w ruchach, flegmatyk; miał zawsze plamy na portkach, nie sięgających kolan.

A to kto był przewodniczącym spółdzielni? Zaraz — przecież spotkał się przypadkowo nocą, na jakiejś leśnej drodze, kiedy wołko szalała hitlerowska akcja oczyszczania terenu z partyzantów. Słusznie, to właśnie on. Był wtedy w A. K. Patrzyć, jak rosną ludzie! Nazwisko nadleszczącego nasuwa-

inne wspomnienia: Był wtedy gajowym i uciekł w nocy pół nago z gajówki, goniony przez żandarmerię i N.S.Z. To chyba był rok 1943. 10 lat. Tak.

Spotkania z przyjaciółmi, kolegami, znajomymi przybliżają do nas wielką dyskusję, zaczyna się ona toczyć w każdym domu, zbliża ludzi dawno niewidzianych, zbliża ludzi nieznanym sobie, ożywia serca i rozumy, tworzy w kraju nastrój serdeczności, rodzinny nastrój przyjaciół budujących własny, na miarę wieków — dom. Ojczyznę.

I właśnie o taką dyskusję chodzi.

Dlatego zwracamy się do przyjaciół bliskich i dalekich, znajomych i nieznajomych: mówcie, dyskutujcie, piszcie, wykorzystując pomoc swych organizacji, swych zakładów pracy, swojej prasy terenowej.

Jest wiele boleć w wsi. I wiele z nich nie znalazło jeszcze odzwierciedlenia w dyskusji. Jeszcze nie mówiliśmy o współwzrostach pracy na wsiach polskich, jeszcze niewielu zabrano głos indywidualnych gospodarzy, średniaków i małorolnych, jeszcze nie dość mocno uytłumiono błędy rad narodowych i organizacji partyjnych w pracy nad umocnieniem sojuszu robotników i chłopów.

Jeszcze za mało słyszymy o walce z kulakstwem, o walce z kulacką propagandą, o przekonywaniu tych którzy kulakom ulegają.

Mówmy o naszych sprawach gospodarskich, bo one tworzą największą naszą sprawę — Polską Rzeczpospolitą Ludową. I to jest nasza wolność, wolność gospodarzy kraju, wyrażająca się na stronach pism i gazet w wielkiej dyskusji o dobrobycie, który budujemy.

K. D.

Z radzieckiej wsi

Moskiewska „Prawda” poświęca ostatnio specjalny artykuł wstępną propagandzie rolniczej, traktując ją jako ważne zadanie partyjne i państwowe. „Dla dalszego rozwoju rolnictwa — stwierdza dziennik — upowszechnienie osiągnięć nauki i produkcji doświadczonych posiada wyjątkowe znaczenie”. Artykuł podaje krytykę „nieodpowiedzialności w tej dziedzinie popełnionej przez szereg instancji odpowiedzialnych za rozwój rolnictwa. Organizacje te, pomijając, że kierować rolnictwem, to znaczy przede wszystkim studiować, uogólniać i rozpowszechniać doświadczenia i osiągnięcia nauki. Kierownicy organów partyjnych i państwowych powinni nie tylko mówić o znaczeniu szerzenia i produkcyjnych doświadczeń, ale muszą też sami poznawać te doświadczenia i być aktywnymi organizatorami przyswajania ich przez wszystkie kołchozy”.

Podkreślając ważną rolę prasy w tej dziedzinie i jej dotychczasowe osiągnięcia „Prawda” zwraca uwagę na wieloletnich gazet i wydawnictw nie przejawia dostatecznej troski w upowszechnianiu produkcyjnych doświadczeń. Organ KC KPZR krytykuje ukazywanie się powierzchownych, napisanych bez dokładnej znajomości rzeczy artykułów o osiągnięciach kołchozów. Ze szczególną siłą dziennik piętnuje niegodne prasy radzieckiej obyczaje poddawania fałszywych wypracowań poszczególnych pracowników redakcyjnych, jako artykułów przedowników rolnictwa.

Mówiąc o konieczności powiększenia masowej literatury rolniczej „Prawda” domaga się wzmocnienia kontroli nad korporentem, fałszywymi swadcz, że wiele cennych książek nie dochodzi do wsi, zalegając magazyny po miastach.

Ważną formą propagandy oraz popierania współwzrostu i przyswajanie doświadczeń nauki i produkcyjnych doświadczeń są rozmaitego stopnia wystawy rolnicze. Artykuł wyraża polecanie, aby w wystawach kołchozów, sowchozów i stacji maszynowo-rolniczych, wystawy powinny poświęcać osobne miejsce gospodarstwu wiejskiemu, bowiem metoda ta jest jednym z najważniejszych środków propagowania produkcyjnych doświadczeń.

Filmy

Kinematografia radziecka wyprodukowała w ostatnich latach dużo filmów instrukcyjnych i popularno-oświatowych na tematy rolnicze. Wielkim sukcesem na wsi cieszy się na przykład kolorowy film o sadzeniu winogron, o gniazdowaniu. W kinach, jednak uwagę, że w wielu miejscowościach, na skutek niedobalstwa, filmy rolnicze nie docierają nawet latami na ekrany.

Sytuację to poprawi rozpoczął 1 bm. wszechzwiązkowy festiwal filmów rolniczych. Trwać on będzie aż do 1 kwietnia 1954 roku. W tym czasie w kinach, w świetlicach i kołchozowych pałacach kultury wyświetlonych zostanie 125 filmów. Widzowie ujrzą życie kołchozów i sowchozów różnych okęgów kraju, a także zaangażowani w melodramat, w filmach, w których przedstawiają kolchozniczo-nowatorów. Wielkie zainteresowanie wzbudzają filmy „Opowieść o życiu rolni”, według książki K. Timiriazewa i „Droga Mieczysława” o sposobach podnoszenia plonów. Wiele filmów poświęconych jest elektryfikacji i mechanizacji rolnictwa oraz zastosowaniu nowych maszyn i narzędzi rolniczych. Każdy z nich poprzedza notka „Nowości rolnicze”, w której podjęty i wypowiedzi wybitnych specjalistów, przewodniczących kołchozów i produkcyjnych praktyków rolnictwa lub lektorów Towarzystwa Powiększania Wiedzy Politycznej i Naukowej.

Warto zaznaczyć, że w ośrodkach rejonowych i kołchozowych są obecnie około 40 tysięcy aparatów kinowych. Kino stało się nierozłącznym elementem powszeźniego dnia wsi.

Nauka

Akademia Nauk Rolniczych im. L. N. przynależała w tych dniach pierwsze dwa złote medale im. Miczurina. Nagrodę tę, ufundowaną w r. 1949 dla uczczenia wybitnych zasług w dziedzinie agrobiologii, otrzymał laureat Nagrody Stalinowskiej, uczeń Miczurina, Paweł Jakowlew i Michał Lisawenko. Prof. Lisawenko poświęcił ponad 30 lat rozwojowi ogrodnictwa w rejonie Altaju. Uczony założył dla rozwoju rolnictwa w wyhodowanych przez siebie gatunkach drzew owocowych i krzewów, które obecnie znalazły na Altaju szerokie zastosowanie. Członek Akademii Nauk, Jakowlew, wsławił się w dziedzinie hodowli drzew owocowych. Jego zasługą jest skrzyżowanie brzoskwiń z migdałem, co uczyniło roślinę odporną nawet na 40-stopniowy mróz i rodzącą owoce nawet w środkowej części ZSRR.

Sport

Organ Ministerstwa Rolnictwa i Skupu, „Sielskoje Chozajstwo”, opublikował w tych dniach artykuł wstępny, omawiający przygotowania do zimowego sezonu sportowego na wsi. Z artykułu tego dowiadujemy się, że miliony ludzi pracy na wsi radzieckiej uprawiają rozmaite dziedziny sportu. W samej tylko Federacji Rosyjskiej znajduje się 33 tysięcy kół sportowych. Na wszechzwiązkowych zawodach narciarskich zespół kołchozów ZSRR zajął pierwsze miejsce. Szerok kołchozów wchodzi w skład radzieckiej drużyny państwowej.

Mimo tego, rozwój sportu narciarskiego, a jeszcze bardziej łyżwiarskiego i hokejowego, cierpi na szereg trudności. Dziennik krytykuje szczególnie pracę zresztą sportowych „kolchozników” i „urozaj” oraz pracę lokalnych zespołów kultury fizycznej. Za jedno z poważnych ich uchybień artykuł uważa brak troski o stworzenie niezbędnej bazy materialnej dla rozwoju sportu zimowych. „Działacze sportowi — pisze „Sielskoje Chozajstwo” — winni domagać się od zarządców kołchozów odpowiednich środków na wyposażenie baz narciarskich, łyżwiarskich i skoczni oraz na zakup nart i łyżew”.

Na zakończenie artykułu formuluje program uprzątnienia propagandy kultury fizycznej i sportu wśród ludności wiejskiej. Obejmuje on wymianę doświadczeń pomiędzy zespołami, pokazy filmów sportowych oraz pogadanki, odczyty i wykłady o sportach zimowych.

(K)

NOWOSC

„...Teraz jednak generalnie zwolnić. Zastanawiam się, czy dojrzały, rozległ się lekki szmer przypominający brzęczenie. Nisł się przez pole i donosił usłyszał — żołnierze wymawiali jego nazwisko...”

Suterceuski... Suterceuski...

JERZY KORCZAK

Odcinek południowy

Niezwykłe ciekawą powieść o pełnym chwale szlaku bojowym II Armii Ludowego Wojska Polskiego pod dowództwem Generała Świerczewskiego. Stron 210 Cena zł 8,60

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ K 15470-1

TOMASZ ATKINS

Sztandar nad „La Pignone”

Słowo strajk przywodzi na myśl zamknięte wrota fabryk, opustoszałe hale, unieruchomione maszyny, głód w mieszkaniach robotniczych. Ale w zakładach metalurgicznych „La Pignone” we Florencji jest inaczej. „Fabryka strajkuje” — głosi napis nad bramą zakładów, ale ruch jest większy niż kiedykolwiek. Robotnicy pracują przy swoich warsztatach, nie odchodzić nawet od nich na noc. W warunkach włoskich słowo strajk nabrało nowego znaczenia — kiedy zakłady produkują wbrew woli fabrykanta.

Sprawa zakładów „La Pignone” stała się głośna w całym Włoszech. Jest ona bowiem charakterystyczna dla nowej sytuacji jaka wytworzyła się w tym kraju. I dlatego warto zapoznać się z nią szerzej. Zakłady metalurgiczne „La Pignone” we Florencji należą do wielkiego monopolu „Snia Viscosa”. Jest to monopol — gigant, monopol międzynarodowy, w którym zgodnie pracują obok siebie kapitał angielski i włoski, amerykański i watykański. Od roku 1947 do roku 1951 zyski „Snia Viscosa” skoczyły sześciokrotnie, z niecałych 800 milionów lirów do przeszło czterech i pół miliarda lirów rocznie. I mimo tych ogromnych zysków „Snia Viscosa” postanowiła zamknąć swoje zakłady metalurgiczne we Florencji. Dlaczego?

Odpowiedź, z punktu widzenia włoskich i międzynarodowych kapitalistów, którzy są właścicielami „Snia Viscosa”, jest nader prosta. Ogromne zyski wyciśnięte z pracy robotników włoskich wywiezione zostały z Włoch i posłużyły do budowy nowych zakładów w Ameryce Południowej, w Hiszpanii i w innych krajach, gdzie monopolistom produkcja opłaca się jeszcze lepiej. I dlatego zakłady we Włoszech postanowiono zlikwidować.

Jednakże monopolistów nie liczyli się z prawdziwymi gospodarzami zakładów — z załogą robotniczą. Robotnicy „La Pignone” wystąpili w obronie zakładów, w obronie swego prawa do pracy, w obronie majątku ogólnonarodowego jakim jest przemysł. Nie po to robotnicy „La Pignone” z narządzeniem własnego życia bronili zakładów przed zniszczeniem w 1944 r., kiedy cofając się wojaka hitlerowskie chciały je wysadzić w powietrze, aby teraz zakłady te miały ulec likwidacji na rozkaz bandy międzynarodowych gieldziarzy. Robotnicy „La Pignone” postanowili fabryki nie opuszczać, postanowili — kiedy dyrekcja zakładów uciekała — sami uruchomić produkcję.

Z pomocą strajkującym robotnikom pospieszyła cała ludność Florencji. Robotnicy innych zakładów ofiarowali swe całodzienne zarobki na fundusz dla strajkujących. Chłopi całym tonami zwożą żywność dla strajkujących i ich rodzin. Spółdzielnie konsumentów utworzyły kredyt dla strajkujących w wysokości 5 miliardów lirów na zakup artykułów pierwszej potrzeby. Akcje strajkujących poparł zarząd miejski Florencji, Izba Pracy, wszystkie związki zawodowe, wielu księży związanych z ludem, tylko przynieść szkodę. Trzeba podjąć aktywną walkę z niedociągnięciami.

duża część miejscowych kupców a nawet niektórzy fabrykanci, których produkcja uzależniona jest od dostaw z „La Pignone”. Pod naciskiem opinii publicznej również większość deputowanych w Izbie Posłów opowiedziała się za natychmiastowym rozpatrzeniem projektu przewidującego wywłaszczenie fabryk unieruchomionych przez właścicieli.

Nie przypadkiem sprawa „La Pignone” nabrała takiego rozgłosu. Bo nie jest to wypadek odcosobniony. W Turbii miała zostać unieruchomiona fabryka włókiennicza, ale robotnicy fabryki nie opuścili i Robotnicza Rada Techniczna produkcję wstrzymała. W Cianciano miała zostać zalana kopalnia siarki, ale górniczy dzień i nocą pozostają w podziemiu, aby kopalnię uratować przed zatopieniem. Wielki kapitał, wielka burżuazja włoska, jawnie i otwarcie zdrażają najżywniejsze interesy narodowe. Za współudział w zyskach zagranicznych monopolów, rujnują przemysł krajowy, zwiększają bezrobocie, nędzę i głód mas pracujących. Jest to konsekwencja polityki, która wciągnęła Włochy do paktu atlantyckiego i podporządkowała je Stanom Zjednoczonym. Robotnicy, klasa robotnicza Włoch, występująca w obronie morderowanego przemysłu bronią nie tylko własnych interesów — bronią oni interesów całego narodu, bronią siły gospodarczej i niezależności swej Ojczyzny. I dlatego sztandar, który powiewa nad „La Pignone” urasta do rozmiarów symbolu Burżuazja sztan-dar niezawisłości narodowej — jak mówił Stalin — wyrzuciła za burtę. Klasa robotnicza sztandar ten podniosła i wciągnęła wysoko na maszt.

Czerwone sztandary zwycięskiej walki o prawo do pracy, o prawo do współwzrostu krajem, powiewają nie tylko nad fabrykami i kopalniami we Włoszech. Coraz częściej zatykają je na ziemiach obszarniczych chłopów włoscy. W okrugach Matera i Caltanissetta, Agrigento, Foggia i Viterbo tysiące chłopów zajęło ziemie leżące odłogiem. W wyniku wielkich walk chłopów w 1949 roku reakcyjny rząd włoski zmuszony był przyjąć ustawę o reformie rolnej i obiecał przeprowadzenie parcelacji części ziem obszarniczej. Ale obietnica pozostała tylko obietnicą. I teraz chłopci włoscy znów podejmują walkę, jeszcze bardziej zdecydowaną, jeszcze bardziej ostrą.

Walka chłopów o ziemię, walka robotników o fabryki i kopalnie — to dwa nurty wspólnej walki o uratowanie Włoch przed katastrofą, ku której pędzi kraj polityka burżuazji. Nowe formy tej walki i wzajemna pomoc robotników i chłopów, to wyraz ogromnego wzrostu świadomości klasowej, wyraz rosnącej siły i organizacji klasy robotniczej i pracujących chłopów. Już teraz w ogniu wielkich bojów klasowych robotnicy i chłopci Włoch, prawy gospodarze kraju, stają się jego rzeczywistymi gospodarzami. W tym tkwi wielkość i znaczenie akcji robotników z „La Pignone” i chłopów z Caltanissetta.

Tomasz Atkins

DYSKUSJA NAD TEZAMI IX PLENUM KC PZPR

KAZIMIERZ JESION

Wieś na nowym etapie



PODZIĘKOWANIE TRAKTORZYSTY — Mal. J. Krajewski

JÓZEF TOKARCZUK

O upolitycznienie pracy świetlicowej

PRZYJEŻDŻAJĄC do Smardz, Opola, ścieśniej: z Wojewódzkiego Domu Kultury w Opolu, miałem zamiar pracować z młodzieżą wiejską na polu kulturalno-oświatowym, według wskazówek dyrektora W.D.K. Bergera i kierownika działu mas-pol. tow. Lacha. Z dwóch gromad, w których miałem pracować, nie znalazłem jeszcze nikogo. Wiedziałem tylko, że w każdej jest spółdzielnia produkcyjna i koło ZMP-owskie.

Dlatego też, przystępując do pracy, obawiałem się, czy jej poddam — mimo, że jako były członek Zespołu „Mazowsze” i obecnie członek baletu W.D.K. w Opolu mam w tym kierunku pewne doświadczenia. Dwie gromady położone obok siebie — Smardz Dolny i Górny — stanowią dość duże skupisko ludności wiejskiej. Wieś posiada sklep tekstylny i spożywczy, gospodę ludową oraz świetlicę gminną z etatową kierowniczką ob. Rozalią Chęchelską.

Pamiętam moją pierwszą rozmowę z młodzieżą. Kierowniczkę świetlicy zwołała wszystkich, informując kim jestem i po co przyjechałem. Od tego pierwszego wieczoru starałem się zaskarbić sobie serca młodzieży. W jaki sposób to robiłem?

Młodzież, widząc nowego człowieka wśród siebie, stara się go wyśledzić, dowiedzieć się czegoś więcej, niż od niego słyszała. Dlatego zawsze starałem się i staram mówić to, co wiem, być skromnym — gdyż takie właśnie cechy powinien mieć każdy aktywista społeczny, czy oświatowy.

Od początku starałem się być szczerym doradcą młodzieży nie tylko w sprawach służbowych lecz i w sprawach prywatnych.

Jakie to dało rezultaty? Obecnie nie ma sprawy, czy konfliktów między młodzieżą, o których bym nie wiedział.

Przy każdej okazji starałem się udowodnić, że każdy z nas ma w sobie jakieś cechy szlachetne, chociaż nie są one tak widoczne, jak u tego czy innego. Ponieważ moje tłumaczenia jakoś nie dochodziły do młodzieży, zacząłem dawać przykłady z życia młodzieży w Związku Radzieckim, pokazywać bohaterką walkę komunistów z najeźdźcą hitlerowskim, wskazywałem braterstwo młodzieży świata w walce o pokój, bez względu na rasę, wyznanie czy poglądy. To poskutkowało. Koledzy, którzy dotychczas przychodzili tylko posłuchać, zaczęli zwracać uwagę, zaczęli przeprowadzać z nami ćwiczenia. Wyróżniałem się w tym szczególnie Tadek K. Dziś jest on najaktywniejszym członkiem zespołu, moim najbliższym doradcą i przyjacielem.

Repertuar zespołu oparłem prawie wyłącznie na repertuarze Państwowego Zespołu Pieśni i Tańca „Mazowsze”, gdyż te piosenki i tańce najbardziej przypadły do serca młodzieży.

Nasz pierwszy występ odbył się dnia 7 listopada br. Sala była wypełniona publicznością po brzegi. Pragnę zaznaczyć, że zespół tego typu widziany był przez niektórych ludzi tutejszych po raz pierwszy. Po każdym występie zachwycona publiczność biła rżęsiste brawa. W ten sposób widziałem jak uradowani byli członkowie zespołu, przekonawszy się, że ktoś umie ocenić ich pracę. Bo trzeba zaznaczyć, że w skład zespołu wchodziły przeważnie córki i synowie chłopów-spółdzielców i indywidualnych, poza pracą w polu, znajdują oni jeszcze czas na rozrywkę w świetlicy.

Oprócz pracy artystycznej w zespole, prowadzę wspólnie z kierowniczką świetlicy, oraz przewodniczącym zarządu gminnego ZMP, tow. Kwiecień Tadeuszem również pracę polityczną. Przygotowujemy prawie na każdą próbę krótką prasówkę na aktualne tematy krajowe i międzynarodowe. Ostatnio przedyskutowaliśmy w naszym zespole tezy przedzjazdowe. Po przeczytaniu tezy umociliśmy się w swym przekonaniu, że pracę kulturalną i świetlicową należy jak najściślej łączyć z pracą wychowawczą i polityczną. I to nie tylko na zewnątrz, w stosunku do widzów. Dla organizatorów pracy świetlicowej szczególnie ważna jest praca

polityczna i wychowawcza z członkami zespołu. To decyduje o żywotności zespołu i zdrowiu, twórczej atmosferze wśród członków. Jeżeli chodzi o łącznie pracy artystycznej z aktualnymi potrzebami politycznymi wsi, czy też gminy, to wydaje mi się, że najważniejszą jest tu konkretność adresu. Obecnie, oprócz prób, dajemy tzw. „koncerty życzeń” dla rolników z naszej gminy, którzy wywiązali się ze wszystkich obowiązków wobec państwa. Na takich koncertach poszczególnie punkty programu dedykujemy wyróżniającym się rolnikom, co z kolei wpływa mobilizując na chłopów pozostających w tyle. Równocześnie piętnujemy w takich koncertach rolników, którzy — mogąc się wywiązać z obowiązków — ociągają się.

Zespół powstał niedawno, a jednak ma już pewne osiągnięcia i znany jest już w całej gminie, a nawet w powiecie. Próby odbywały się trzy razy w tygodniu, po 2,5 godziny. Staram się iść na próby zawsze przygotowany z konспекtem w rękę, gdyż właśnie takie przygotowanie się prowadzącego pozwala na większe wykorzystanie czasu i dodatnio wpływa na podnoszenie poziomu artystycznego członków zespołu.

Do zespołu stale przychodzą nowi ludzie. Pierwszy występ odbył się, gdy w zespole było 16 członków; dziś jest ich 34. Nielatwa jest praca, ale jestem zadowolony z jej plonów. Przyjemnie jest spojrzeć na tych ludzi podczas występu. Jacy są szczęśliwi, że mogą przed swoi-

mi rodzicami pochwalić się tym, czego się nauczyli w świetlicy!

Jednak, oprócz osiągnięć, mamy też i poważne braki. Jednym z podstawowych braków jest brak instrumentów muzycznych i kostiumów. Mam już skromną gotówkę, lecz nie wystarczy jej na zakupienie strojów, a pomocy nie otrzymujemy znikąd.

Drugim brakiem w naszym zespole jest słaba jeszcze dyscyplina. Mam samorząd zespołu, nie potrafił on jednak zdobyć sobie autorytetu wśród członków, ażeby nimi należycie pokierować. Samorząd w zespole — to prawa ręka instruktora. Samorząd nie może poradzić sobie z członkami, którzy bez usprawiedliwienia nie przychodzą na próby, nie potrafi należycie zorganizować i przygotować występu zespołu od strony technicznej i organizacyjnej. Słowem naszymu samorządowi brak jest inicjatywy.

Uwagi o pracy w zespole, o którym piszę, nasunęły mi się po przeczytaniu referatu tow. Bieruta na IX Plenum i też na II Zjazd Partii. Sądę, że nasze doświadczenia mogą dopomóc aktywistom kulturalnym na szerszym terenie. Myślę, że dyskutując nad tezami, powinniśmy zastanowić się przede wszystkim jak upolitycznić naszą pracę świetlicową, jak przenieść do naszych występów i wieczornic, do wszelkiego rodzaju imprez artystycznych — potężny ładunek ideologiczny IX Plenum.

Józef Tokarczuk
Smardz, pow. Kluczbork,
woj. Opole

CZESŁAW MICHNIAK

„ZORANY UGÓR”

(Opowiadanie)

Stuknął lekko w szkło barometru, strzałka nie ruszała się z miejsca. Deszcz i deszcz, plusk i monotonne pojękiwanie przymkniętej okiennicy. „Trzeba będzie ha-

czek dorobić” — odezwało się gospodarstwo sumienie.

Siadł przy stole, cmy tłukły się w kuliście kłosa lampy. Drgnął knót, cień starego chłopca wydłużył się, zatańczył na ścianie i belkowania suficie, zaczęły znowu uspokoić się jakby ukolysany jednostajnym szumem wiatru. Trzeszczało w więzaniach dachu.

Spojrzał na zegar. Była ósma. Podparł rękami głowę wpatrując się w okno, za którym rozlała się ruchliwa, mokra ciemność. Z siedmiu hektarów nienajlepszej ziemi, którą odziedziczył po ojcu większość stanowiącą łaki, zamieszkałe przez dzikie kaczki i żaby. „Jak jutro nie przestanie padać, będzie źle” — zaszepił się.

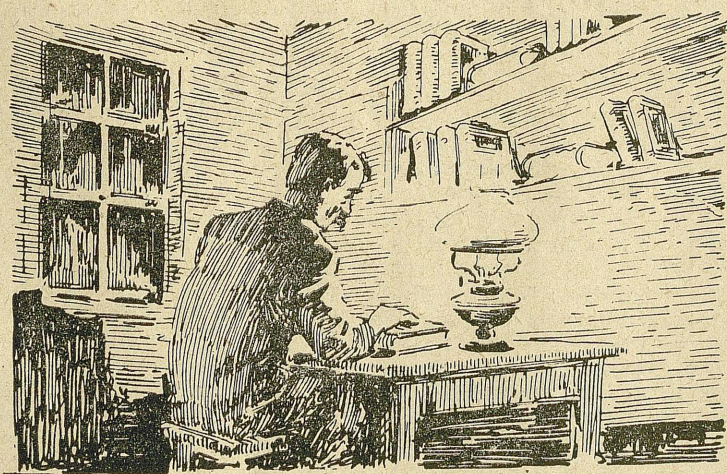
Kilka książek leżało na stole. Z kolorowych okładek przemawiały tytuły wplecione zgrabnie w jakiś obrazek wiejski — chatynka, wierzba rosochata, chłop orzący wołami. Zolnierze z gwiazdami na stalowych hełmach, gdzieś indziej okręt z rozwiniętymi żaglami, to znowu jakieś dziwaczne esy-floresy, ornamenty i tym podobne fidrygalki. Przekartkował szybko jedną z książek i popatrzył na niego spodobał Pawła Korczagin, srogi jakiś, zawzięty. W grubym zeszycie starannie, wielkimi, okagłymi literami wypisał tytuł: „Jak hartowała się stal”. Wyglądał z dokładnością pedanta zagięte trochę rogi okładki, obtań rękawem niewidzialny pyłek...

Pewnego jesiennego wieczoru w czterdziestym dziewiątym roku napadła na wieś banda. Banasińskie mu zabrali jałówkę, kilka kur oraz piętnaście tysięcy złotych. Podziękowali kolbą. Półki z książkami przerzucili do góry nogami. „Zorany ugór” deptał amerykańskimi buciorami sam „porucznik”, kłocowaty szatyn z wąsikami. Znęcając się nad książką huczał: „Ja ci dam „Ugór” bolszewiku przekleć!”

Ze go ograbili, wiadomo — bandyci. Ale skąd ten „bolszewik” — nie wiedział. „Przecież ani partyni, ani nawet SL-owiec”. Gdy jednak przypomniał sobie „porucznika” odpowiedź miał gotową:

książki. Dwa wieczory spędził na zszywaniu i łataniu kartek „Ugór”...

Ostrożnie, z namaszczeniem otworzył następną: „Opowiadania wiojskie” Mariana Brandysa. Gdzieś nad głową, chyba na strychu, chrobotnęła mysz. Okiennica poruszyła się ze zgrzytem, jakby tknięta niewidzialnymi rękami. Plusk nie ustawał. Banasiński wstał, skrzypnęła podłoga. Zatrzymał się przed półką. O, tu z brzęga „Młoda Gwardia”, własność Manka, który otrzymał ją w nagrodę za celujące postępy w



Rys. M. Walentyńowicz

syna, który kształcił się teraz w jednym z sosenwieckich liceów. Przeknął słine, wzruszony przejechał ręką po włosach. Obok przyściśnięte do ściany stały dwa grubie tomy z rysunkami: „Cichy Don”. Przysłano mu je niedawno z redakcją „Przyjaźni” za odgadnięcie szachy. Na górnej półce, gdzie tłok panował największy, rzucała się w oczy książka obłożona w czerwony papier. Były to „Dni i noce”, powieść o Stalingradzie w języku rosyjskim, która podarowała mu przed laty pewien radziecki lejtendant, stojący u nich na kwatery. Dedykacja brzmiała: „Dorogomu polskomu towarzyszowi — P. G. Włodkow”.

Znowu usiadł. Wzrok jego padł na „Ugór”. Okładkę przecinała u góry nicy bandaż biała opaska z

— Czy pamiętacie naszą rozmowę przed wiosennymi siewami? Już wtedy przepowiadałem: władza ludowa pomoże wsi; pomoże dlatego, że zbliżamy się do końca planu 6-letniego, a rolnictwo z wykonaniem swych zadań wciąż nie daje sobie rady.

— Co się mówi o tej pomocy w fabrykach? — zapytał Paleckiego Siwek.

— Że będzie duża — odpowiedział Palecki: — w maszynach i narzędziach sztucznych, w kredytach i zaspokajaniu potrzeb gospodarskich, w mechanizacji prac na roli i w agrotechnice.

— To najważniejsze! — zawołał Rukat. — Bo gdy chłop się wreszcie przekona, że zaczynasz gospodarować po nowemu, od razu zwiększy swoje dochody, wszystko na wsi pójdzie inaczej!

— Tezy przedzjazdowe mówią także o ulepszeniu pracy gminnych spółdzielni ZSCH, o zwiększeniu produkcji towarów dla wsi, o skierowaniu do służby rolnej doświadczonych agronomów, o zakładaniu i zaopatrywaniu w żelastwo gestej sieci kuźni. Zaspokoi to wiele naszych potrzeb — wrócił Siwek.

— Najwięcej jednak wzmocni wieś wiedza rolnicza — mówił dalej Rukat. — Nasz chłop dopiero wtedy pozna, jak wiele traci nie erząc gruntów pod jarę — w jesieni, nie odkwaszając gleby i łak, nie sadząc kartofli systemem kwadratowo-gniazdowym, nie karmiąc zwierząt w sposób racjonalny. Miliony marnuje się w każdym powiecie w Polsce z powodu chłopskiej niewiedzy.

— Tezy mówią i o tym.

— Wiedzie, co mnie najbardziej w nich cieszy? To, że będziemy o wszystkich sprawach otwarcie dyskutować. Bo dyskusja obnaży wiele naszych bolączek i wskaże środki do ich zalecenia. Ujawni też niezaprzeczną prawdę, że wiedza rolnicza potrzebna jest polskiej wsi, jak roślinie słońce. Zważcie — choćby na podstawie tego, co wam powiem — jak kraj rośnie w bogactwa, gdyby chłop w pełni wykorzystywał możliwości, jakie mu daje ziemia! W tych dniach w Samopomocy Chłopskiej w Warszawie widziałem głowę bruku. Ważyła 18 kilogramów! W przeliczeniu na hektar zebrano jej ponad 800 q. W Biegonicach osiągnięto na polu do świadczalnym 26 kilogramów ziemniaków spod jednego krzaka. W Państwowym Gospodarstwie Rolnym Szyldak w Olsztyńskim wyhodowano seradę dającą z jednego ziarenka do 4 kilogramów zielonej paszy. Stanisław Boguta z Filipówki w powiecie kętrzyńskim zebrał 80 q lnu z hektara. Józef Elsmund z Czarnej Wsi w Białostockiem kosi czterokrotnie więcej si-

na niż jego sąsiedzi. Golarz z Kiełszanowa osiąga 700 q buraka z ha; Jan Marko z Kantowa w powiecie kwidzińskim wykopał 530 q kartofli z ha. — Co ogół naszego chłopstwa wie o tych zdobyczach? Prawie nic! Za mało mamy o nich wiadomości w gazetach. Za mało mówią o nich radio. W książkach zaś nie znajdujemy o tym ani słowa. A w Związku Radzieckim osiągnięcia produkcyjnych kolchozów odzwierciedlone są w najlepszych powieściach.

I w polskich wsiach nie brak spraw i ludzi, godnych pióra pisarza. I na naszym gruncie mogłyby powstać „Zorany ugór”, „Kolchida”, „Kawaler Złotej Gwiazdy”, „Żniwa”. Pomogłyby one chłopu bardzo w jego trudnej pracy.

— Wolajmy o tych potrzebach wsi: wy — chłopcy i my — robotnicy ziemni. Bo podniesienie rolnictwa jest wspólną naszą sprawą — rzekł Palecki.

— Rozumiemy to — zaznaczył Siwek — i liczymy na waszą pomoc.

— Nie zawiedziecie się w swych oczekiwaniach. Wkrótce kończymy całkowitą budowę wielkiej fabryki w Zambrowie. Czym będzie ona dla ziemi łomżyńskiej wiemy wszyscy. Gleba mazowiecka daje obfite plony lnu. Możecie go teraz uprawiać jak najwięcej. Nasza fabryka zakupi każdą ilość.

— Wiemy o tym — wrócił Siwek. — Już w tym roku Zambrow ogłasza, by chłopcy przygotowywali się do większych upraw lnu.

— Czy tylko lnu? — zapytał Rukat. — Dziś każdy płód ziemi ma w Polsce zapewniony zysk. Trzeba go tylko więcej hodować. I dlatego musimy poznawać nowe metody gospodarowania na roli,

Byłoby dobrze, gdyby nasi uczeni agronomowie wzięli pod swą opiekę po kilka wsi w powiecie; gdyby pozostawiali w nich przynajmniej w czasie upraw, siewów i zbiorów ich wskazówki dałyby korzyści podwójne: gruntowne poznanie zdobyczy nauki rolniczej przez owe wsi i rozpowszechnienie ich doświadczeń po całej okolicy. Bo po roku wiedzieliby o nich każdy chłop.

— W dyskusji nad tezami powołajmy wysunąć jeszcze jeden projekt — dodał Siwek: — żeby nauczycielstwu na odcinku pracy społecznej powierzać wyłącznie zadania kulturalne. Niech ożywia ono życie świetlic, zespołów artystycznych, chórów. Niech propaguje dobre książki. Niech organizuje wieczory dyskusyjne. Nie wolno marnować sił pracowników oświatowych na wsi na przepisywanie papierków w przeżydkach gminnych rad narodowych i na wyjazdy w doraźnych akcjach w teren. A dziś można się z tym spotkać w setkach GRN-ów.

— Nie wolno zapomnieć także o zadaniu, które w tej chwili uważam za najważniejsze — dodał Rukat: — o rozbudowaniu w polskim chłopstwie entuzjazmu dla wykonania nowych zadań wsi. Bo zapal ustokrotni nasze siły, tak bardzo Polsce potrzebne.

—

Północ się zbliżała, gdy dyskutanci też zjazdowych na niewielkiej wsi mazowieckiej zakończyli rozmowę. A poruszyli zaledwie kilka problemów.

Tymczasem w dyskusji trzeba o mówić wszystkie zagadnienia, które pomogłyby zwiększyć wydajność gospodarki rolnej, zagwarantować ludzom pracy dobrobyt, podnieść żamożność wsi, wzbogacić jej życie kulturalne,

Kazimierz Jesion



gotnych ust. Pchnął okiennicę, deszcz tłukł ostro o namokłą ziemię, pluskał w kałużach, bębnił o blachę na dachu.

— Kto tam?

— Nikt nie odpowiadał.

— Kto? — powtórzył, wychylając nieco głowę. Wiatr rozburzył mu włosy.

— Swoją — rzekł cień, przybliżając się do parapetu okna. Teraz dopiero Banasiński poznał Milika.

— O rany! — w głosie zabrzmiała ulga. — Coscie, w taki deszcz?.. Wyrażał swoje zdumienie. — Idźcie do drzwi, zaraz wam otworzę.

— Idę — zniknął w ciemności.

Banasiński wyszedł poświecić do sieni. Przeprowadził Milika przez kuchnię do „biblioteki”.

— Mam do was sprawę — rzekł Milik, ścisząc głos. Na wiechciowych wachach wisiały kropelki deszczu. — Chodzi o książkę...

Książkę? Ej! Banasiński wyczuł w tej wizycie podstęp. Na pewno partyjni przystali chłopca na przespiegi, co też on tak długo robi po nocach. Nie ufaj mu? Kto wie! Kiedyś nawet podsłuchiwał rozmowę: „Banasińskiego trzeba rozgrzyść”...

Spojrzał podejrzliwie na Milika. Stał w pogiętym kapeluszu, z którego woda kapiała jak z rynny, zmęczony, budzący litość. Tylko ciemne oczy żarzyły się jak dwa węgielki...

— We wsi mówią, że sobek, a wy do mnie — nastawał Banasiński ironicznie.

Sobek, zgadza się, ale i człowiek... — powiedział Milik spokojnie, otrzepując liście, które poprzylepiły się do ubrania. — Znacze Karwata! — wybuchnął nagle.

Chłop w Jasienku mówił po reformie rolnej: „odszedł Wielopolski, ale został jego cień”, choć Karwat był człowiekiem uprzejmym, wesołym. Dzięki tej uprzejmości i pokaznym tusz zaczęto go nazywać proboszczem. Znał, która jeszcze przed wojną ukończyła kurs PKK, pełnił na wsi funkcję sanitariuszki — bezpłatnie. Niektórym z pacjentów proponowała: „możebyście pomogli meżowi przy zwózce siano, albo torf układać?”.

Banasiński zamknął w swej bibliotece, bądź sterczący na łąkach z kosą lub grabiami utrzymywał z Karwatem tylko oficjalne stosunki. Miał parę koni i książki, nie potrzebował więc ani rady, ani pomocy bogatego gospodarza.

— No to co? Nic z tego nie rozumie... — wzruszył ramionami i zrobił ruch ręką, jakby chciał się pożegnać. — A jaka to książka? — spytał jeszcze dla porządku.

— „Zorany ugór”...

— Ciekawa rzecz... — ożywił się Banasiński.

— Pewnie, skoro Karwatowi napędziła tyle strachu...

— Jak to?

— Ano, gdy mu powiedziałem, że przeczytałbym ten „Ugór”, to Karwat, zwykły taki godny i stateczny jak książka, zaczął przeklinać i krzyknął, że jeżeli zobaczysz książkę w moich rękach, to koniec naszej przyjaźni... Konia mi nie da... Maszynę mi nie da... pomimo że robię na jego polu, jak ten wół.

— Akurat chodzi wam o ten „Ugór” — rzekł jakby do siebie Banasiński, obrzucając krytycznym wzrokiem tego śmiesznego drągala z wąsami, których koniuszki opadały smutnie w dół.

Bardzo ciekawa rzecz — powiedział Milik. Kiwnął głową; nowa porcja wody spłynęła z kapelusza na ziemię.

— Wściekał się, mówicie, zły był? — A tak — podchwycił Milik — rozdarł się: „dam ja ci „Ugór”, bolszewiku przekleć!”

— Jak powiedział, jak? — wyrzucił z siebie Banasiński z wściekłością. Twarz wydłużyla się, natychmiast uwidoczniły się kości policzkowe. Zbladł. Posunął się w kierunku Milika i znowu stanął.

— A to dranie! — rzekł wolno i dobitnie.

— Drań — zgodził się Milik, który miał na myśli tylko Karwata. Zapadło milczenie.

Banasiński odwrócił głowę w stronę stołu. Książka leżała cichutko, jakby zamarła w oczekiwaniu.

— Chodźcie no bliżej — powiedział, wycierając ręce o spódnie. Kątem oczu zobaczył, że Milik uczynił to samo. Zdał nawet kapelusza. Banasiński uśmiechnął się z zadowolaniem.

— Jakbyście jeszcze kiedyś chcieli książkę — wazył słowo — to przyjdzie, tylko nie po cennku, ale w dnie. Weźmiecie sobie do domu. A i konia wam pożyczę i wzmoczę, jak trzeba będzie — dodał uroczyście.

Pochylił się nad stołem, w przejęciu i ciekawości dziwnie podobną do siebie. Twarz Milika rozjaśniła się, wypiękniła, uczynił nawet ruch, jakby chciał podkrocieć wąsa. Rzucił się do czytania. Banasiński mu sekundował. Nie przestawał się uśmiechać.

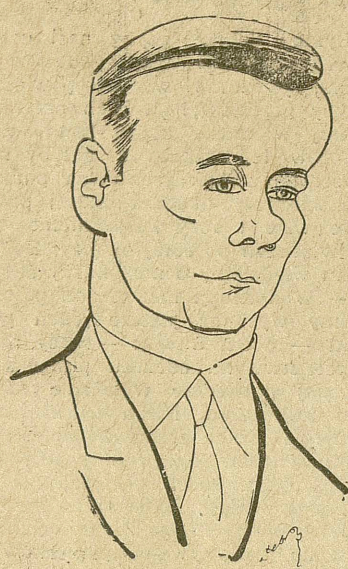
— „Pod koniec stycznia owiane pierwszą odwilżą pięknie pachną wiośniowe sady...”

Czesław Michniak

RYSZARD HŁADKO

RECYTATORKI WIEJSKIE

(po I Ogólnopolskim Konkursie Recytatorów)



STEFAN JASINSKI — rys. J. Zebrowski

W dniach 23-25 listopada odbyły się w Warszawie Centralne Eliminacje I Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorów; wzięło w nim udział 180 uczestników wyłonionych na eliminacjach powiatowych i wojewódzkich spośród 60 tys. kandydatów.

Masowe obchodzenie pierwszej tego rodzaju imprezy świadczy, że sztuka artystyczna odwrotstwa tekstu literackiego stała się istotnym czynnikiem kulturowym wśród najszerszych mas. Należy wyrazić głębokie zadowolenie, że organizator imprezy — Ministerstwo Kultury i Sztuki postanowiło organizować podobne imprezy co roku. I to — odziedziczenie dla amatorów, młodzieży szkolnej i zawodowych aktorów.

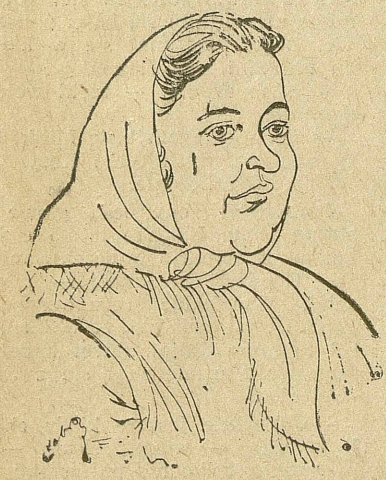
Spółród uczestników Konkursu nagrodzonych zostało 60 wykonawców. Wśród występujących 20 proc. stanowili przedstawiciele wsi. Procent to dość wysoki, gdy się uwzględni, że sztuka deklamacji na wsi jest jeszcze bardzo zaniedbana.

Rzecz zadziwiająca: wieś na konkursie reprezentowały prawie wyłącznie kobiety. Czy jest to dobre zjawisko? I tak i nie. Dobrze — bo jak się okazuje, kobieta wiejska, znana dawniej ze swego zafascynowania i ciemnoty staje dziś nie rzadko na froncie rewolucji kulturalnej na wsi polskiej. Jakże głębokie pokrycie znajdują w tym fakcie słowa tow. Bieruta wypowiedziane pod adresem kobiety wiejskiej w lutym br! Prymat kobiet nie zwalnia wszakże ich mężów, synów i ojców od odpowiedzialności za właściwy kierunek przemian kulturalnych na wsi. Jeśli nie wykazują inicjatywy, niechże kobiety postarają się ich zaskoczyć.

KIERUNEK SKRZYWIONY

Wyróżniona na konkursie 500 złotą nagrodą Zofia Buchowa — jednohektarowa chłopka z Czarnej w woj. rzeszowskim odbyła do sztuki recytatorskiej znaną drogę. Wstąpiła do Koła Gospodyń Wiejskich, w którym — jako jedna z aktywistek — brała udział w konkursie hodowli kur i konkursie czytelnictwa. Przeczytała wtedy „Węgieł” Scibora Rylskiego i „O człowieku, który się kulom nie kłaniał” — Broniewskiej. Koło pracowało też przy odstawie zboża.

Buchowa zaczęła też uczestniczyć w pracach miejscowej świetlicy i dziś ze swym synem występuje w „Ożenku” Gogola, grając rolę swatki. Ponadto Buchowa jest członkiem powiatowej i gminnej rady narodowej, członkinią komisji pracy i opieki społecznej, prowadzi w gromadzie zlewnię mleka. Dotychczasowa praca społeczna i kulturalna Buchowej jest związana z miejscowym terenem. Wypróbowała ona swych umiejętności nieomal we wszystkich dziedzinach pracy świetlicy — z wyjątkiem... deklamacji! Uzupelnieniem tego brakującego ognia, szczytowym punktem jej awansu kulturalnego, pierwszym zresztą wystąpieniem na ze-



ZOFIA BUCHOWA — rys. J. Zebrowski

wną — była recytacja „Listu Anny Żywioł” Jastruna i „Przeciw wściekłości” Broniewskiej — na warszawskich eliminacjach.

Dlaczego z owym „brakującym ogniem” przyszła aż do Warszawy? Dlaczego nie wypróbowała go uprzednio wśród swoich?

— Nie odważyłabym się — powieda — deklamować u nas we wsi! Wstydziłabym się. Co innego grać na scenie. Ale deklamować?...

Oto wyznanie! W czytelnictwie książek, na scenie, w chórze, w wypadach, w „wśród swoich”; w deklamacji — „nie wypada”. Ta pozostałość tradycyjnego kompleksu „wypada — nie wypada” powoduje, że Buchowa „wstydzi się” przekazać wsi wszystkie swoje umiejętności.

Mamy nadzieję, że ob. Patykowakierowniczka wzorcowej świetlicy w Czarnej, do której należy Buchowa, weźmie ten istniejący jeszcze w jej gromadzie kompleks pod uwagę w swej dalszej pracy.

KIERUNEK PRAWIDŁOWY

Maria Konarzewska — członkini spółdzielni produkcyjnej w Krzyżanówku, pow. Kutno recytowała „Bagnet na broń” — Broniewskiego i satyrę Krasickiego „Kalamaz i pióro”. Wybrała te utwory dlatego, że — jak powiada — lubi wiersze „energiczne”. Co przyniosł jej konkurs recytatorski? Dojrzała w nim dla siebie duże możliwości. Perspektywę tę dostrzegła już w trakcie eliminacji, zapisując się do IV etapu konkursu czytelnictwa. Konkurs recytatorski pozwolił jej odnaleźć właściwy kierunek swego rozwoju.

Doszła do niego nie prostą drogą. Skończyła tylko 4 klasy szkoły powszechnej, nie mogła więc wyrobić sobie właściwego smaku artystycznego. Jako członkini „Wici” po wojnie brała udział w melodramatycznych misteriach wielkanocnych. Wiciowe skrzywienie ideologiczne pozwoliło jej podcaż Święta Ludowego w Młogoszynie deklamować publicznie bez wewnętrznych oporów, „Pobudkę” Asnyka. Toteż i w swym „smaku scenicznym” nie wymagała wiele: z taką samą ochotą wystąpiła w karcernej szmirczce „O ziemię”.

Przełom nastąpił, gdy do wsi przywędrowała biblioteka. Bardzo podobały jej się książki rewolucyjne: „takie o strajkach, o walce robotniczej”, „dłatego że byli smutni”. Konarzewska widziała wtedy cierpienia; nie mogła dostrzec rewolucyjnej siły klasy robotniczej; ukazyła ją dopiero wiersze Broniewskiego. Od „Pobudki” do „Ba-



ZOFIA NYGA — rys. J. Zebrowski

gnetu” długa była droga; ale dziś Konarzewska wie, że najlepsze są książki „energiczne”; że „nie śpiący rycerze” lecz walka klasowa decyduje w życiu. Udział w konkursie czytelnictwa jest dalszym etapem w rozwoju jej świadomości.

W przykładzie Zofii Nygi z POM w Nowym Stawie w powiecie Malbork chodzi o inne przemiany. Konkurs recytatorski podbudował ją psychologicznie, wzmocił poważnie jej wykształcenie artystyczne, a zarazem uwieścił drogę jej społecznego awansu.

Nyga z natury swej (po części i z tego, że jest samotna i w „obcych stronach”) skłonna była do apatii i smutku. Stąd jej zamiłowanie do lektury, która znacznie polepsza jej samopoczucie. Ten wzgląd zdecydował, że już kilka razy przewertowała powieść „Jak hartowała się stał” Ostrowskiego i „Opowieść o prawdziwym człowieku” Polewoja.

Jeszcze mocniejszą podbudowę psychologiczną dał jej występ recytatorski w Warszawie, na którym otrzymała III nagrodę.

— Nie wierzyłam w swoje uzdolnienia — wyznaje. — Dzięki eliminacjom odnalazłam w sobie nowe człowieka, nowe możliwości. Prowadzę zespół artystyczny POM-u. Miałam zawsze trudności z recytacjami. Zasady dykcji przy opracowywaniu ról były dla mnie czarną magią. Marzyłam o tym, żeby móc swój głos nagrać na płytę i sprawdzić, jak mówię. Teraz wiem. Nie tylko z własnego występu. Siedzę w tej sali po kilka godzin i słucham. Z tak wieloma możliwościami wypowiadania się na scenie spotykam się po raz pierwszy. Słucham uczniów szkolnych, zawodowych aktorów, ludzi z fabryk i ze wsi. Teraz wiem, jak nasi „aktorzy” z POM-u mają grać swoje role.

A więc konkurs dał jej także doświadczenie reżyserskie.

Awans społeczny Nygi nabrał nowych jakości. Bo do obecnego stanowiska — referenta administracyjno-gospodarczego POM i kierownika zespołu, doszła poprzez pracę traktorzystki i kierowniczki kuchni.

RYSZARD HŁADKO

KOWAL

Całą bezkształtną masę kruszców drogocennych,
Które zaległy piersi mej głab nieodgadnia,
Jak wulkan z swych otchłani wyrzucam bezdennych
I ciskam ją na twarde, stalowe kowadło.

Crzmiotem młota w nią walę w radosnej otusze,
Bo wykonać mi trzeba dzieło wielkie, pilne,
Bo z tych kruszców dla siebie serce wykuć muszę,
Serce hartowne, męzne, serce dumne, silne.

Lecz gdy ulegniesz, serce, pod młota żelazem,
Gdy pęknie, przeciw ciosom stali nieodporne!
W pył cię rozbija pięści mej gromy potworne!

Bo lepiej głą zmiadźdżone cyklopowym razem,
Niżbyś żyć miała własną słabością przekłętą,
— Rysą chorej niemocy skażone, pęknięte.

IRENA MACIEJEWSKA

O POEZJI LEOPOLDA STAFFA

(Z okazji 75 rocznicy urodzin)



Leopold Staff

Leopold Staff rozpoczynając swą twórczość poetycką w okresie największego nasilenia tendencji modernistycznych, w okresie kiedy nurt realistyczny w poezji prawie nie istniał — nie potrafił dać w pierwszym swym tomiku w „Snach o potęgę” poezji nowatorskiej, realistycznej. Młody poeta dążył do przeciwstawienia się impresjonizmowi poezji współczesnej, starał się przezwyciężyć „nastrój” schyłkowy — „Śwadektwo tych ułwan odnajdujemy w wielu wierszach poety ze „Snów o potęgę”, ze przytoczę dla przykładu choćby fragment takiego utworu, jak: „Odrzućmy raz...”

Którą się otaczamy jak zebrek pogardę,
Niosąc naszej codziennej doli jarzmo twarde,
Czoło skrywamy w dumy wyniosłość ponurą.
Pięknie nam w własnych oczach w roli bohatera
Co powali wrogiem chociaż zwyciężon uмирa
Pod jego mieczem! Rzućmy tę dumę! To maska!”

Rzeczywiście przezwyciężenie symbolizmu nie mogło się oczywiście dokonać poprzez akt jednorazowej krytyki tego kierunku i jego ideowego zaplecza. Dokonywał się ono w drodze powolnego rozsądzania ram poetyki symbolistycznej i nasycenia utworów wiedzą o świecie, wiedzą o życiu skrzywdzonych i bezradnych. I ten proces zaczyna się rzeczywiście bardzo wcześnie, obserwujemy go już w „Dniu duszy” — drugim poemacie w tomiku Staffa.

Przykładem ilustrującym ten proces będzie bardzo popularny i bardzo piękny wiersz, jakim jest „Deszcz jesienią”. Jest protestem humanisty przeciwko złu otaczającego świata, jest odwołaniem się do spraw rzeczywistości, choć dokonuje się ono jeszcze tutaj w formie nieco zmitologizowanej, odrealnionej:

„Zmarł nędzarz, nim ludzie go wsparli jamużną
Gdzieś pożar spopielił zagrodę wieśniaczą...
Spaliły się dzieci... Jak ludzie wkrąg płaczą!”

Revolucja 1905 r. pomaga poecie w przewidywaniu arealistycznej metody twórczej. Próby odejścia od modernizmu podejmowane na rozmaite sposoby w „Dniu duszy” realizują się w zbiorze „Piakom nie-beskim” w pięknych i prostych wierszach tego typu, co „Modlitwa”, „Gniew sprawiedliwy”, czy „Jęk wyklętych żałków”, którego strofy brzmią oskarżeniem ustroju:

„Za tych wyklętych, spłodzonych wyrzutek,
Których pięść krzywdy w twarz bije zniemacka
Niechaj, brzmi dzikim wyrzutem pieśń smutków
Modlitwa moja, jak krzywdy prośbą...”

W „Gałęzi kwitnącej” (1908) i „Uśmiechach godzin” (1910) ten typ liryki wyda swoje najpiękniejsze osiągnięcia, osiągnięcia tej miary, co „Przedśpiew”, „Hora tańcząca”, „Ranek nad morzem”, „Południe”. W takich i tym podobnych wierszach najpełniej zamknięta została wiedza poety o życiu, jego ludzki twórczy optymizm wyrosły z doświadczeń kłeski:

„Znam gorzyc i zawody, wiem co ból i troska
Złuda miłości, zwątpień mrok, tęsknot rozbita
A jednak śpiewać będę wam Pochwałę Życia!”

Dążenie do humanistycznego kształtu poezji wiąże się z troską o jak największą prostotę poetyckiego obrazu, z pogardą dla gestu „Kłamstwa i przesydy”.

W obrazach działalności ludzkiej, które prezentuje nam tutaj poeta, w licznych opisach pomników kultury antycznej widać świadome dążenie do dyscypliny słowa i myśli, świadome przeciwstawienie się rozgadaniu poetyckiemu epoki.

Świat kultury antycznej i świat ojczyzny przyrody — to dwa wielkie tematy twórczości Staffa z lat 1908 — 1914 i późniejszej zresztą też, to te pola na których talent poety rozwinął się najpełniej.

Współczesność i jej problematykę zbliży Staffowi wojna. Ona przekonała go ostatecznie, iż rzeczą poezji jest każda sprawa ludzka, ta bliskość człowieka i żywe zainteresowanie się losami narodu czyni ze zbioru charkowskiego jedno z najwzrostszych osiągnięć na drodze twórczej poety, czyni wiersze „Te-czy leż i krwi” żywym, mimo, że od czasu ich powstania upłynęło już wiele lat. Słwa oskarżenia złozonego klasom panującym i ich rządów w takich wierszach, jak „O Francjo”, „Dzień ołowiu” — przerasta o wiele pacyfistyczne protesty mieszczanich pisarzy i wskazuje na bliski w tym okresie związek poezji Staffa z masami narodu.

Tak jak liryka „Uśmiechów godzin” zawierała w sobie piękno i ból życia pokojowego, tak „Te-czy leż i krwi” w najlepszych swych osiągnięciach zamknęła poetyckie doświadczenia podstawowych mas narodu z okresu I wojny imperialistycznej.

„Te-czy leż i krwi” jest wielkie m.in. dlatego, że zamyka ona i niejako podsumowuje ten długi okres

CZESŁAW SCHABOWSKI

P O konferencji z siemkowickim aktywnym zetempowski postanowiliśmy rozpocząć pracę świetlicową w nie wykończonych wiejsko-wej sali zamku. Miała ona podpołdło z desek nie heblowanych, na których ma być położona w przyszłości kostka. Poprosiliśmy Wydział Kultury w Łodzi o stół, krzesła, gry i radio, po czym zabraliśmy się do organizowania młodzieży interesującej się świetlicą.

Dopinguje mnie tow. Sionkowski, członek KG, komendant miejscowego posterunku MO. Od niego też dowiedziałem się dość wiele, jak na początek, o Siemkowicach:

Sekretarz KG, tow. Bartoszewski, postarzony szutem w twarz przez sąsiada polującego na kuropaty, leży od 4 mies. w szpitalu w Wieluniu.

Siemkowice i wsie sąsiednie, to teren działalności zlikwidowanej kiedys zgrai bandziora „Byskawicy”; do niedawna grasowała tu banda złodziejska tak bezczelnych, że w biały dzień potrafili przecinać na stacji druty od semaforów i w ten sposób zatrzymane pociągi towarowe rabować.

Niemal całe życie „kulturalne” koncentruje się na plebani: tam jest parafialna orkiestra, chór i prywatna biblioteka księdza proboszcza, wiadomo z jaką lekturą... Wszelkie sprawy gminy omawia się zazwyczaj w dwu potajemnych knajpach, u „Babki” czyli u obywatelki Kucharskiej oraz u „Ciotki”, ob. Dziwińskiej, dokąd nawet i młodzież często zagląda.

— Cóż im zrobisz? — powiada Sionkowski. — Nawet gdy się przydybie towarzystwo przy butelce u „Ciotki” czy u „Babki”, nikt jej nie wyda. Nawet przewodniczący GRN rzekłby: „Przyniesiłem wódkę z domu i bawimy się. A co, nie wolno? Konstytucja nie zabrania!”

Jednym słowem, teren — paluszki liść. Kiedy na przykład, rozta-

czałem przed zetempowcami perspektywę wieczorów z rozrywkami, przewodniczący wiejskiego koła ZMP, Janek Kowalczyk, na słowo

LEOPOLD STAFF

GESIARKA

Z czteroletnią powagą, w spódnice po bosc
Stopki i w kaftaniku na wyrost, to wąską
Drepcę miedzą, to znowu brodzi łąką grząską,
Z rannym świtem, nim słońce traw osuszy rosę.

Krasą krajką przepiółtą lnanowłosą kosę,
Z kromką chleba w chusteczce za pasa przewiążką,
Dłoń prawą uzbrowszy wierzby łąką gałązką,
W lewej wleczę za sobą żdźbło złoistokłose.

Sznur gesi, z których każda jak łódka się ślania,
Sunie jak szereg białych znaków zapytania:
Czy dziecko ich pilnuje, czy one je wiodą.

Jak na śnieżnym łańcuchu, by ustrzec przed szkodą,
I odwracają szyję u każdego skreśła,
Czy nie zgubiło z dłoni pastuszego pręta.

twórczości, który od „Gniewu sprawiedliwego”, poprzez „Kryta spod płota” i „Lzy” oraz lirykę osobistą i lirykę krajobrazu, doprowadził do takich realistycznych osiągnięć, jak „Gesiarzka” i „Dzień ołowiu”, do takich uogólnień, jak to, którym zamyka się tomik charkowski:

„Ileokroć wznieś się w górę mierz...
upada w dół coś z wielkich skarbow

życia i człowiek i dzieło człowieka”

Wchodząc w niepodległość — jak większość naszych twórców — Staff łączył z nią wiele nadziei, sądził, że wolna Polska zmieni oblicze świata, że otrze łzy cierpiącym, że stanie się ojczyzną ludzi wolnych i szczęśliwych. Rzeczywistość kapitalistycznego państwa zawiadła oczekiwania i nadzieje pisarza. Poezja Staffa mówi o tym rozczarowaniu w sposób wyraźny, mówił poprzez zwięzienie poetyckiej problematyki, poprzez ograniczenie do opierania najważniejszego — życia („Gnój”, „Wieprz”, „Pies” itp.), poprzez uporczywe pomijanie zasadniczych spraw epoki. Staff, który — jak widzieliśmy przedtem — nie przechrodził obojętnie wobec zagadnień bieżącego życia, wobec wielkich wydarzeń społecznych i politycznych (stosunek do rewolucji 1905 r., do wojny imperialistycznej lat 1914—18) — teraz cofa się.

Świadectwem rozczarowania i zawiedzionych nadziei pisarza jest m.in. piękny wiersz napisany ku uczczeniu śmierci Stefana Żeromskiego.

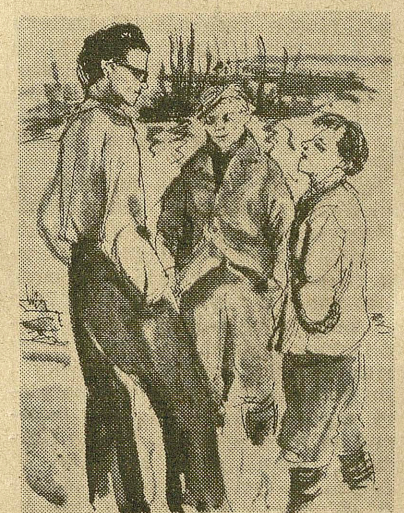
„Wyszedł z niewoli, wolności ląkomy,
Wolności świetnej, wspaniałej ojczyzny.
Brał w piersi wszystkie piortuny i gromy,
By nie zasnuły pamięci ran — bliżny.
Toczył obłądnym rozpacz spójnieniem,

TRUDNY

ping-pong wytrzeszczył oczy i spytał:

— A co to?
— Tenis stółowy.
— A to znów co za diabeł?

4.III. Przed chwilą próbowałem czytać w świetlicy „Grenada” Swietłowa i „Mister Twister” Marszaka — popiśowe moje recytacje — i sło, jak z kamienia. Kowalczyk flirtował z Hałaszkiewiczówną, Krzysiek Tomczyk z Krawczykówówną, „Kopa” z Marysia Szupakówną, Kleczczyński z Duwińską, a reszta podśmiewała się, chichotała:



Rys. B. Horsa

jakby wszyscy zmówili się, aby mi przeszkadzać.

Kiedy wczoraj próbowałem czytać Wiecha — było to samo, co na poprzednim wieczorze: śmiechy, chichoty, złośliwe uwagi o mojej osobie...

9.III. Nie robię nic; świetlicę puściłem samopas, postanawiając poczekać aż wróci ze szpitala tow. Bartoszewski i pomoże mi „po linii partyjnej”. Zresztą postanowiłem poznać głębiej specyfikę terenu i do niej przystosować przyszłe formy pracy. A teren — niech go diabli!

12.III. Zajęcia świetlicowe ograniczają się tylko do gier: warcaby,

Spalał się sercem jak wieczna pochodnia
I dookoła patrzył z przerażeniem
Na małość, ugode, brud i podłość co dnia!”

Wydana w 1936 r. „Barwa miodu” przynosi dalszy rozwój poezji Staffa w kierunku nasycaenia jej treściami ludzkimi. Świadomość, że istnieją w otaczającym świecie konflikty nierozwiądalne, takie z którymi nawet teoretycznie poeta poradzić sobie nie potrafi, nie zabija jego poetyckiej aktywności:

„W sobie zestrąjam sprzeczny ten świat, Apollinie,
Boś chyba po to tylko dał mi luno w ręce”
— pisze poeta w „Barwie miodu” a nieco dalej w poetyckim wyznaniu tego czasu — mówi, że pisze nie po to, by...

„...Świat dziwnością zdumiał
Lecz by się kształtem stała chwila
I abyś bracie mnie zrozumiał
I niech wiersz, co ze strun się toczy.
Będzie przybrałszy rytym i dźwięki
Tak jasny, jak spojrzenie w oczy
I prosty, jak podanie ręki”

Obrona humanistycznego sensu poezji i jej praw do wyrażania najprostszich ludzkich uczuć i wzruszeń świadczy, że również w dwudziestolecie żywy jest w poezji Staffa nurt humanistyczny, ten nurt, który nieczwaste dobiłają do realizmu, ciąży jednak ku niemu i w którym powstają najlepsze, najzwyklejsze utwory poety. Wiemy przecież, że wartość poezji Staffa nie zasadza się na tworzeniu wielkich poetyckich syntez współczesnej poezji rzeczywistości, bo tych syntez twórczość autora „Uśmiechów godzin”, „Wysokich drzew” i „Martwej pogody” dać nie potrafiła. Polega ona na umiejętności odkrywania tych cząstkowych prawd, z których się życie układa, polega na pięknym, realistycznym odwzorowaniu zwyczajnych ludzkich uczuć radości i optymizmu, smutku, rozgoryczenia i zawodu, polega na wnikiwym przedstawianiu psychiki człowieka.

Irena Maciejewska

„Szlakiem zwycięstwa”. „Zespół wygrywa”. Szachów nikt tu jeszcze nie zna. Szkoda, że nie mamy ping-ponga. Ale dobrze, iż na to słowo, nikt już oczu nie wytrzeszcza.

15.III. Doniesiono prezydium PRN, że nie nie robię. Przyjechał stamtąd kierownik referatu kultury, ob. Przybylski i nuże na mnie! Pozwoliłem mu się wygadać, a potem wyjawiliem swój punkt widzenia na organizowanie życia świetlicowego w Siemkowicach, żądając przede wszystkim radia i wolnej ręki w tutejszej polityce kulturalnej. Zgodził się, ale pod warunkiem, że ukończymy zarząd świetlicy, zorganizujemy zespół dobrego czytania, zespół teatralny i założymy dziennik zajęć oraz kontrolkę.

18.III. Wrócił wreszcie ze szpitala Bartoszewski, będę mógł z nim pogadać. Jeszcze jest w Chorzowie, ale gdy trzeba będzie, pójdę te cztery kilometry do niego i wreszcie się z nim poznam, poradzę we wszystkim. Sionkowski mówi, że Bartoszewski jest towarzyszem, wyrozumiałym, ale nie umie podejść do człowieka. Jeśli przypadkiem ktoś do niego trafi, robi to, co do sekretarza KG należy, każdego załatwi należyście.

20.III. Dopiero przedwczoraj poznałem sekretarza: jest to wysoki, szczupły blondyn o szczerym wejźniu i niewątpliwie żarliwości rewolucyjnej. Wszystko, co mu przedstawiliem, zaaprobował bez poprawek. Wyraził radość, że będzie miał we mnie pomoc. Zaraz też wytypował mi ludzi do zarządu: wiceprzewodniczącą prezydium GRN Marchewkę, nauczycielką Popczyk i nauczycielkę Dymkównę oraz trzech aktywistów świetlicowych, ludzi z ZMP: Janka Kowalczyka, Perdkę Stasia i Henię Ciekańską, która weszła i z ramienia prezydium, jako referent socjalny.

Co do Popczyka, to mam nadzieję, że mi dużo pomoże: ledwie mi pokazał w Siemkowicach, założył on kółko teatralne, którego członkowie jednak nie chcą korzystać ze świetlicy; na moje nalegania, żeby od-

JANINA MAZAN

Kłopoty z programem nauki o literaturze

Na łamach prasy literackiej i w regionalnych gazetach codziennie toczy się interesująca dyskusja wokół nauczania literatury w liceach. Warto pamiętać, że dyskusanci wypowiadali się ujawnie o pracy polonistów ze szkół średnich.

Uczę właśnie literatury ojczyjstę od szeregu lat w klasach licealnych — i z tej racji chciałabym wskazać przyczyny, które, moim zdaniem osłabiają skuteczność naszej nauczycielskiej pracy, obniżając poziom i zakres wiedzy młodzieży o literaturze.

Przed wszystkim kępuje nas program nauczania. Mam ułożone proporcje, czyli godziny na poszczególne pisarzy; przesądzają to z góry powierzchowność naszej pracy. Musimy poprzestać na omówieniu jednego lub dwóch problemów w twórczości pisarza; wobec tego pomijamy niektóre cele wychowawcze. Najczęściej zaniedbujemy kształcenie smaku artystycznego, uświadomości estetycznej w naszych wychowankach. Nie przypadkowo podkreśla się w dyskusji, że artystyczne strony dzieła literackiego młodzież licealna ocenić nie potrafi.

Przykłady: Na omówienie Sienkiewicza program przeznacza w X klasie 6 godzin lekcyjnych, z czego na wybór nowel przypada 2 godziny, na „Potop” 3 godziny i 1 godzina na „wiadomości o innych utworach Sienkiewicza, na artystycznym powieści, na sady Prusa i Natkowskiego o Sienkiewiczu”.

Jest rzeczą niemożliwą omówienie w jednej godzinie tylu zagadnień. Dorobek Sienkiewicza jest wielki. Zbywanie strony artystycznej jego utworów kwadransiem — jest chyba niedopuszczalne.

Toczy się w kraju wciąż odnawiana dyskusja o tym pisarzu; mówią o nim czytelnicy, błądzą w ocenach bibliotekarze i sami nauczyciele — a program o tym ani słowa. Nie ma także wzmianki o najnowszych pracach Baculewskiego czy Sandlera na temat Sienkiewicza.

Albo sprawa Krasińskiego w programie nauczania dla licea. Jak wiadomo, z pism Krasińskiego całe pokolenia, zwłaszcza chłopię, uczyły się i uczą historii narodu. Tymczasem program nauczania ogranicza się tylko do takiego ujęcia: „J. Krasiński — życie i twórczość, walka ze stosunkami niewolniczym — pańszczyznianym — Ułan”. I przewiduje na wszystko — 2 godziny. Tymczasem Krasiński — to pisarz, ze względu na różnorodność zainteresowań i rozwój idei, niezwykły i jakże przy tym płodny! Należałoby go znacznie szerzej w programie omówić.

Zdaje sobie oczywiście sprawę z tego, że materiał w klasie X jest zbyt obszerny — i że poproszą go, znaczyliby tyle, co kręcić powrót na nauczycielską szafkę. Jakież więc wyjście? Podobnie, jak Henryk Zasadę z Tarnowa („Głos Nauczycielski”) sądzę, że dobrze byłoby zacząć systematyczny kurs literatury polskiej już w drugim półroczu klasy VIII. Uzyskalibyśmy wtedy możliwość przerobienia XV i XVI

wieku. Grozi i tu pewna trudność: — nie będzie korelacji z historią. Daleko ważniejszy jednak brak polega na czym innym. Historycy nie pracują dobrze. Rzadko który polonista może prowadzić wykład, nie dając nierzadko obszerniejszego wstępu historycznego, gdyż młodzież ma słabe pojęcie o epoce.

Nie kończą się na tym nauczycielskie trudności. Program przewiduje omawianie fragmentów poszczególnych utworów literackich. Wyrabia to w młodzieży złe nawyki. Z jednej bowiem strony my — nauczyciele charakteryzujemy pisarza, czy całe okresy jego twórczości w sposób niepełny; z drugiej — program zaleca czytanie „kawałeczków” skutkiem czego młodzież lekceważy pisarza. Wypływa stąd jeszcze jedno złe: młodzież szkolna mało czyta. Zgodzi się ze mną zapewne wielu nauczycieli, że młodzież mało czyta między innymi dlatego, że podajemy jej literaturę w ogólnikach lub uryweczkach. Nie umie jej dobrze analizować, nie zna smaku dyskusji. Brak miejsca w programie powo-

duje, że trudno nam zapalić młodzież do czytania literatury.

Trudno mi doprawdy źle sędzić młodzież z Liceum w Czudcu. Nie czyta należycie literatury pięknej — to prawda, ale przecież setki godzin poświęca pracy w ogrodzie doświadczalnym lub ciepłarni walczącej o powiększenie dorobku nauki rolniczej. Młodzież nasza kocha przyrodę; wychowuje ją specyficzna atmosfera doświadczek agrobiologicznych i wniosków praktycznych. Zainteresowania naszej młodzieży idą wybitnie w kierunku biologii, jednak bez uszczerbku dla innych dziedzin nauki. Stachetny zapal młodzieży do pracy społecznej należałoby podnieść nie tylko w kole naukowym biologów — miczurinowców, ale również na innych kółkach naukowych i w samej pracy szkolnej. Wiele może tu zrobić polonista. U nas, dla przykładu „Kolchida” Państwowskiego i fragmenty opowiadania Gonczara „Mikita Brat” (omówione w gronie młodych biologów z klasy VIII) tak dalece zapaliły młodzież do doświadczeń agrobiologicznych,

że pisze sama niejako ciąg dalszy tych opowieści w naszym przyszkolnym ogrodzie, na naszych poletkach bawelny, załanu i ryżu.

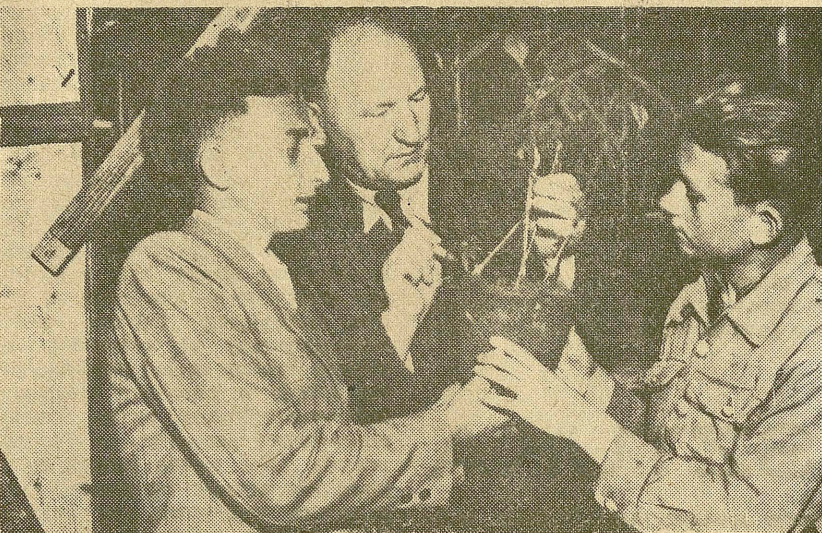
Oto co może zdziałać lektura i polonista pod warunkiem, że dostosuje książkę do konkretnych warunków i najżywościjszych zainteresowań młodzieży.

Ostatni to problem, jaki chciałabym postawić. Nauczyciel — polonista powinien mieć nieco swobody, pewną rezerwę czasu, którą wypełni lekturą specjalnie uwzględniającą charakter i warunki, w jakich szkoła pracuje. Każda szkoła, niezależnie od wspólnych przecież założeń ideowo — wychowawczych, ma własne oblicze, na które składa się pochodzenie społeczne młodzieży, warunki środowiska, konkretne potrzeby terenu. Te warunki polonista powinien wyszukać przez dobór odpowiedniej lektury. Tu bowiem humanistyka dopomaga w kształceniu zawodowym — w najistotniejszym, bo trwałym sensie, wiążąc młodzież z książką.

Janina Mazan

WŁADYSŁAW WOROSZYŃSKI

WIĘCEJ TROSKI O NAUCZYCIELA



Wł. Woroszyński w otoczeniu uczniów

W gromadzie, czy w gminie — nauczyciele skupiamy z konieczności w swoich rękach prace, które w mieście rozdane są na szereg instytucji. Zależą od nauczyciela wypełnienia kilku, czasem nawet kilkunastu funkcji społecznych, często pozbawiamy go elementarnych warunków wykonania podstawowych zadań w szkole. Życie pokazuje, jak często uderza się w terenie w najbardziej fundamentalny obowiązek nauczyciela, w prowadzenie szkoły na wysokim poziomie.

Jestem od 6-ciu lat dyrektorem szkoły ogólnokształcącej w Czudcu na Podkarpaciu. Jest to typowa wieś rzeszowska. Wśród 2000 jej mieszkańców zdecydowanie przeważa chłopstwo biedota.

Z wielu swych doświadczeń chciałbym zwrócić uwagę na jedno, niezwykle ważne dla pomyśl-

nej pracy nauczyciela na wsi. Chodzi mi o stosunek tzw. „czynników” do nauczyciela. Doświadczyłem na własnej skórze co mogą z nauczycielem robić niektórzy przedstawiciele miejscowych władz. Zgroźono mi np. skargą do władz wyższych, jeżeli nie skieruję odpowiedniej liczby nauczycieli do pracy przy sporządzaniu w GRN wykazów należności chłopów w zbożu, mięsie, ziemniakach itp.

Nauczyciele naszej szkoły przez wiele dni, nierzadko do późnej nocy chodzili po podgórskich wioskach, kontrolując kwity i sporządzając wykazy. Samej akcji skupu poświęcili we wrześniu i październiku 290 godzin plus 315 godzin pracy starszych uczniów.

Tego rodzaju prace mogłoby z powodzeniem wykonać pracownicy GRN i GS we własnym zakresie.

Z pamiętnika kierownika świetlicy

POCZĄTEK

bywali próby pod moim okiem, odpalił: „Jeszcze poczekamy”. Popczyk już mnie przekonał, że gdy wystawi „Jowialskiego”, to przyciągnie zespół do świetlicy. Abym tylko pomógł radami podczas prób. Zgodziłem się, lecz w praktyce okazało się to trudne: zespół Popczyka odbywał próby w remizie akurat wtedy, gdy ja mam zajęcia świetlicowe w zamku. Ale podobno próby idą dobrze i należy się spodziewać, że siemkowiczanie będą podziwiać „Fredrę z „Jowialskiego”. A zresztą, czy nie można założyć jeszcze jednego zespołu teatralnego? Pogadam z Kowalczykiem: Janek chociaż ma lat 17, cieszy się jednak wielkim mirem i wśród starszych chłopów.

20.III. Kowalczyk rzekł mi otwarcie, że nie ma co się trudzić, gdyż wszystkich chętnych amatorów skaperował Popczyk, a zetemponcy grać na scenie nie chcą. Nie ma więc innej rady, tylko zdobywać sobie sympatyków drogą osobistych kontaktów. Jeśli potrafili mieć wpływ na ludzi w życiu codziennym, nie ulega wątpliwości, że łatwiej potem będzie mi wciągać ich do zespołów, ba, nawet do spółdzielni!

Nad stawami chłopcy zaczęli rzucić płaskimi kamieniami w wodę, „puszczać kaczki”.

Przylączyłem się więc do ich zabawy. Chłopcom spodobało się, że taki poważny facet bawi się na równi z nimi. Ale Kazik zaproponował:

— Ano, kto zrobi więcej kaczek? — Dobrze! — Rzucił Stokowski: raz, dwa, pięć, osiem. Sporo.

Potem Janek: pięć, dziewięć, dwanaście! Dużo!

Kolej na mnie: wybrałem najbardziej płaski kamień, kucnąłem nad wodą, rzuciłem: kamień mój odbił się od tłuź wodnej czternastą raz. Chłopcy spojrzeli na mnie z uznaniem.

— Pan chyba pisze ciekawe książki — odezwał się znów Kazik. — Mogę wam coś przeczytać w świetlicy i wtędy zobaczycie.

Nie wyszło: do świetlicy zwałiła

się taka hurma dzieci, że każda próba kończyła się sromotnym fiaskiem.

*

25.III. Był Przybylski i w kontrolce dużymi literami jak byk, napisał: „polecono zorganizować zespół teatralny oraz zespół dobrego czytania”. Na moje uwagi i nieśmiałe propozycje, popierane argumentami o specyfice otoczenia, rzekł:

— Co się będziemy bawili w jakieś „kaczki”. Weź pan jakąś ciekawą książkę, zacznij czytać i proszę urwać w miejscu najbardziej emocjonującym. Potem słuchacze sami poproszą o „dalszy ciąg” i zespół czytelnicy gotów.

Rzeczywiście! Stary praktyk z tego Przybylskiego! Ze mnie to do głowy nie przyszło!

Jednak zastanowiłem się, głośno: — Dlaczego więc w innych świetlicach tak trudno zorganizować stały zespół czytelnicy? Czy kierownicy świetlic nie umieją przerywać czytania w odpowiednim momencie?

— Innym jest trudno. A panu, tak zaangażowanemu w dziedzinie literatury, powinno pójść, jak z płatkami. Przecież od tego są literaci.

Może Przybylski ma rację. Spróbuję.

— Może więc zostalby pan na wieczór, pomógł mi? Literatura, literatura, ale pańskie doświadczenie też coś znaczy.

Przybylski wykreślił się sianiem. Aby jednak zatrzeć niemile wrażenie wywołane jego odmową, zegnając się ze mną, dodał:

— Mam do pana kompletne zaufanie.

Istotnie, zaufanie do mnie miało tak duże, iż nigdy nie przyjechał na wieczorne zajęcia świetlicowe.

26.III. Uważając, iż najtrudniej jest zacząć, a potem pójść jak po maśle — nie zapowiadałem nic, lecz o godzinie 21, podczas najcisniejszego nasilenia pogwarek w świetlicy przerywałem pogaduszki słowami:

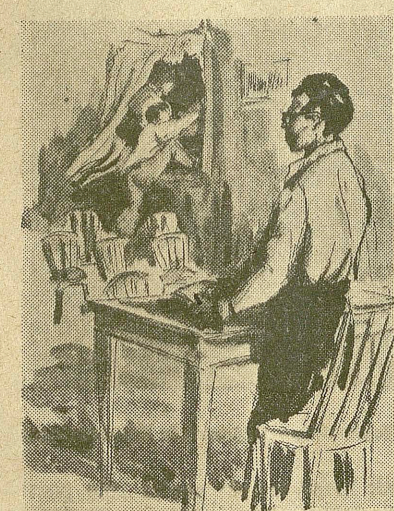
— Proszę o kilkanaście minut ciszy: poczytamy trochę.

Wiedząc już, że na Janka mogę

trochę liczyć, poprosiłem go, aby zamknął drzwi na klucz.

Zaczęłem czytać. Szło — koncertowo. Bez przezwalek: czytałem jak do radia. Oczywiście musiałem raz czy dwa razy gromotnąć w stół i krzyknąć: „ucho tam!” i jakoś uspokajało się. Mieć taką ciszę podczas czytania w świetlicy — serce rośnie!

Zaczęłem się upajać własnym



Rysz. B. Horszko

czytaniem Wytworzałem ciche nastroje, szepoty, uniesienia, napięcie. W świetlicy nadal — jak makiem siał. Kochani świetliczanie! Teraz tylko umieć przerwać tak, żeby burza oklasków dopełniła reszty, zwała na jutro pół wsi do świetlicy.

Ale gdym spojrzał przed siebie — opanał mnie taki szaleńczy śmiech, aż się sam przestraszyłem, czym nie popadł w błąd: w świetlicy nie było ani żywego ducha.

Dopadłem drzwi: zamknięte. Z drugiego końca sali powiał wiatr i musnął mnie po rozognionym czole. Ochłonąłem, spojrziałem przystojniej w stronę skąd powiało: dwa okna były otwarte na rościę.

Nawet Janek zwał.

Co robić...?

Czesław Schabowski

Głosy w dyskusji



Foto. A. Mustaj

ANNA BUREK

Rezerwy aktywu świetlicowego

KIEDYS, w Łyszkowicach (pow. Łowicz) rozwijało się życie kulturalno — oświatowe, sport, był zespół muzyczny — artystyczny. Gdy cukrownię w Łyszkowicach zlikwidowano, ludzie rozproszyli się i zamarło życie świetlicowe. Tak pisze nasz korespondent. A nie jest to głos odosobniony. Często zdarza się, że w dobrze pracującej świetlicy zaczyna zamierać życie: rozpada się jeden po drugim zespoły artystyczne, maleje ilość uczestników kursów wiedzy rolniczej czy zespołów czytelnicy. Świetlica, która miała niejednokrotnie ambiencję szerokiego oddziaływania na sąsiednie gromady, przestaje oddziaływać nawet na życie swojej wsi. Przyczyny tego stanu są prawie zawsze jednakowe: brak opieki i pomocy ze strony władz nadzórnych, rad terenowych, organizacji społecznych odpowiedzialnych za pracę świetlic i odchodzenie członków zespołu ze wsi. Jeden czy drugi z członków zespołu dramatycznie, powołany zostaje do wojska, solistka chóru wychodzi za mąż, „na drugą wieś”, jeszcze inni odchodzą do pracy w mieście czy do SP, innym powierzona zostaje praca na ważnych odcinkach, która nie pozwala im brać aktywnego udziału w pracach świetlicy. „Jest biblioteka, są piękne książki — pisał np. Stefan Janczak ze wsi Czartki — ale nie ma ich kto czytać. Część chłopów, którzy roznosili książki po wsi i namawiali ludzi do czytania, jest w brygadach SP, część poszła do wojska — tak, że prace te upadły”.

Przykłady można mnożyć. W momencie, gdy dotychczasowy aktywny z tych czy innych względów odchodzi od świetlicy, powstaje wokół niej pustka. A więc dawny aktywny i kierownik świetlicy nie umiał wychować sobie zastępców, nie potrafili dostrzec w wiedzach, przyszłych aktorów, w zwykłych czytelnikach — przyszłych kierowników zespołów czytelnicy, w doświadczeniach gospodarzy — przyszłych kierowników kursów wiedzy rolniczej, w kolegach harcerzy czy ZMP-owców, pracujących jako księgonosze — ich następców, gdy ci pójda do szkół czy na inny odcinek pracy. Dawny aktywny i kierownik świetlicy nie potrafił więc zapewnić ciągłości pracy. A dlaczego? Bo nie potrafili oni naprzód, traktując istniejący w gromadzie stan rzeczy jako niezmienny — nie widzieli perspektyw jej rozwoju. A przecież w większości wypadków o deქcie od czynnego uczestnictwa w życiu świetlicy spowodowane jest awansem społecznym ludzi wsi, w gromadzie, czy w gminie, przejściem do pracy w POM-ie, objęciem odpowiedzialnych stanowisk w ZMP, czy ZSCh. Ci ludzie często — nie przekreślając dalszego swego społecznego uczestnictwa w życiu świetlicy — nie mogą nadal, ze względu na nowy rodzaj pracy, być jej kierownikami i aktywnymi członkami.

Sprawa rezerw w pracy świetlicowej jest więc sprawą zasadniczą dla jej pomyślnego działania; wiąże się bowiem ściśle z problemem rozwoju kulturalnego, awansu wszystkich mieszkańców gromady.

Powróćmy jednak do Łyszkowic. Rozwijało się tu przez 2 lata życie kulturalne, istniał zespół muzyczny i dramatyczny. W tej chwili poszczególne organizacje usiłują rozbudzić wsi na nowo. TPP-R zorganizowało kurs języka rosyjskiego; kierowniczka biblioteki gminnej Maria Kuratówna energicznie wzięła się do werbunku czytelników. Ale kurs języka rosyjskiego kuleje: na poszczególne lekcje bywa po dwietrzy osoby. Kol. Kuratówna, choć sama potrafiła pewnego dnia zachęcić 20 osób do wzięcia udziału w IV etapie konkursu czytelnicy, nie znajduje pomocy w swoich poczynaniach. Ci ludzie, którzy podjęli się „postawić na nogi” życie kulturalne Łyszkowic, biorą owoce tej krótkowzrocznej polityki, którą prowadzili poprzedni kierownicy świetlicy i jej aktywni.

Wydobycie rezerw ludzkich do pracy świetlicowej nie będzie w tej chwili w Łyszkowicach sprawą prostą, nie będzie nią w żadnej gromadzie, w której popełniono tego rodzaju błędy. Rezerwy te jednak istnieją; szukać ich trzeba pośród przodujących gospodarzy, a przede wszystkim pośród młodzieży.

We wsi Porebka (woj. Stalino-

gródzkie) nie najlepiej działało się do roku 1953 praca oparta była na wysiłku pojedynczych ludzi. „Wysiłki garstki działaczy skierowane były ku temu, aby wprowadzić pewną stabilizację do pracy, zorganizować ją. Udało się to na krótko i znów rwało” — pisze jeden z członków zarządu świetlicy Jan Jelonek. 14 listopada br. zorganizowane zostało na nowo życie świetlicowe, utworzony został zarząd, powstały zespoły: sceniczny, chórny, upowszechnienia wiedzy rolniczej i redakcyjny. Plan pracy przewiduje utworzenie zespołu czytelnicy oraz prowadzenie pogadek na tematy naukowe. „Poprzedni przewodniczący ZMP poszedł do wojska a na jego miejsce wszedł Eugeniusz Ciura, chłopak mądry i ambitny; szybko dogadał się — i świetlica w ciągu najbliższych dni otrzymała do swojej dyspozycji bibliotekę złożoną z kilkuset książek i aparat radiowy. Kol. Antoni Dzielo zobowiązał się zająć zespołem chóralnym i scenicznym, w czym pomogą mu sportowcy — pisze Jan Jelonek.

W skład zarządu weszli: przedstawiciele KG — przewodniczący miejscowej spółdzielni produkcyjnej, soltys, nauczyciel. Tak więc ludzie odpowiedzialni za życie polityczne, gospodarcze i oświatowe, dążąc do uzdrowienia stosunków panujących w świetlicy, wzięli na siebie obowiązki kierowania pracą kulturalno — oświatową, jednocześnie we właściwy sposób ustawiając w tej pracy młodzież. Aktywny uznał młodzież za swojego pomocnika, uważając ją za źródło kadr i rezerw do prowadzenia pracy świetlicowej. Zerwano z zasadą „garstki działaczy” i w ten sposób świetlica istotnym czynnikiem podniesienia kulturalnego poziomu jej życia i jednym z elementów, który zdecydowanie awansu chłopstwa wewnątrz gromady.

W Łyszkowicach prezes zarządu gminnej spółdzielni Czesław Nowogórski ma zamiar zająć się świetlicą. Zastanówmy się gdzie ukryte są siły, które pomogą mu w pracy, gdzie kryją się na terenie gminy Łyszkowice rezerwy aktywu świetlicowego. Świetlica w Łyszkowicach jest bowiem świetlica gminna — tak więc w skali oddziaływania, jak i w możliwościach stworzenia właściwego zaplecza dla swojej pracy ma ona wielkie możliwości.

W gminnej spółdzielni „Samopomoc Chłopska” pracuje około 80 ludzi; większość z nich — to młodzież. Jest jej sporo wśród pracowników gminnej rady. To jest punkt bardzo ważny. Młoda inteligencja wiejska powinna iść w czołowie postępu kulturalnego i gospodarczego wsi. Tak więc nie tylko zespół artystyczny, o którego powstaniu zabiega prezes Nowogórski, ale i inne — powinny stać się polem działania młodzieży GS-u i Rady Narodowej w Łyszkowicach.

Koło ZMP w Łyszkowicach jest słabe. Jego praca polega tylko na okresowych zajęciach jak „przygotowanie dwóch lub trzech piosenek na okolicznościowe uroczystości...”. A jak młodzież pomaga w akcji obowiązkowych dostaw dla państwa? Ani tak, ani tak. Nie pomaga wcale. Mimo to, koło ZMP, liczące 30 członków, powinno podobać pracę, jaka stoi przed młodzieżą w Łyszkowicach. Trzeba jednak aby z całą ostraścią postawić przed nim wagę zadań politycznych, jakie ma do spełnienia i wskazać na świetlicę, jako na placówkę, mogącą przysłużyć się do ich realizacji. Praca Marii Kuratówny, która oprócz biblioteki gminnej prowadzi punkty biblioteczne w okolicznych gromadach, będzie o wiele łatwiejsza, jeśli wydatna jeśli, przy pomocy ZMP znajdzie tam swoich pomocników — agitatorów, księgonoszy, jeśli doświadczenia jej pracy przenieszone będą na teren świetlicy gminnej, to będą omawiane i twórczo wykorzystywane w innych gromadach.

Kwestia rezerw aktywu świetlicowego, szerzej ujmując sprawę aktywu kulturalno — oświatowego na wsi jest rzeczą bardzo istotną. Łyszkowice są tylko przykładem. Ale trzeba aby przemysleli go w odniesieniu do własnego terenu wszyscy kierownicy świetlic, wiejskich domów kultury, bibliotekarzy,

Anna Burek



Obraz „Wyzwolenie Warszawy” wykonany przez Stanisława Kundę, rolnika ze wsi Janiny, pow. Augustów. Otrzymał on III nagrodę Związku Samopomocy Chłopskiej



Wycinanka kurpiowska Stanisława Bakulę ze wsi Strzałki, gmina Kadzidło, wyróżniona przez Min. Kultury i Sztuki

BARBARA LIPIŃSKA

DRÓG ROZWOJU — WSPÓŁPRACA Z PLASTYKAMI

Gorącą dyskusję wzbudziła wśród członków jury konieczność oceny, niespotykanego do tej pory w sztuce ludowej działu malarstwa sztalugowego. Z punktu widzenia dawnych teoretyków sztuki ludowej jest to zjawisko jakoby merytorycznie fałszywe. Malarstwo sztalugowe wymaga jednej z najtrudniejszych technik sztuki profesjonalnej; było ponadto obce sztuce ludowej, opartej na małych formach. Pora już jednak na zrewidowanie takich kryteriów. Ilja Erenburg pisząc o psychologii twórczości, określa ją w sposób następujący: „pisarz dlatego pisze książkę, że nie może pokonać w sobie pragnienia opowiedzenia ludziom czegoś własnego... dlatego, że dostrzegł ludzi i zjawiska, których nie może nie opisać. Tak powstają dzieła wypełnione wielkimi namiętnościami; i jeśli nawet nie są one wolne od artystycznych usterek, to jednak porwają...”

Tylko przy takim kryterium oceny możemy sprawiedliwie ocenić reprezentowany w 175 eksponatach dział malarstwa. Są to często rysunki czy obrazy formalnie złe, bo i perspektywa tu nie w porządku, i brak jest poczucia proporcji w obrazach. Ale wyrażają się w nich przecież dokumenty przełomowego okresu historii i tego cennego skarbu nie wolno nam wyrzucić za burtę nawet w imię ochrony czystości tradycji. Rysunek i malarstwo rozwija się przecież na wsi i ma swój określony zasięg oddziaływania. Są nim wnętrza świetlic wiejskich, (za często strasznie jeszcze obdrapanymi oleodrukami); na rysunki czekają gazетки i błyskawice; tablice ogłoszeń na plakat. Otwiera się zatem wielkie pole nie tylko dla samorodnie malujących, ale i dla konkretnej roboty plastyczno-agitacyjnej zawodowych plas-

tyków i działaczy społecznych; oni właśnie muszą zająć się skierowaniem żywiołowego nurtu twórczości malarzkiej na właściwy teren gromady, czy gminy.

Malarstwo sztalugowe nie wzbogaci sztuki ludowej o nowy dział, ale pogłębi kulturę plastyczną na wsi i stworzy warunki dla rozwoju budzących się talentów.

Bo spojrzmy: Tymofiej Tychoniuk — dawny robotnik dworski, obecnie członek RZS we wsi Kojły, powiatu Hajnówka, nadesłał ciekawy pod względem tematycznym cykl rysunków kredką. Wiele z nich, jak „Akcia partyzantów radzieckich pod wsią Rajską”, „Masakra hitlerowska we wsi Rajską” posiada wartość dokumentarną. Tychoniuk pisze o sobie: „Mój talent za czasów sanacyjnych został zmarnowany, tak jak i tysiące innych. Za władzy Polski Ludowej nie chcę, aby przepadł bez śladu; chcę aby żył i służył naszej ukołchanej ojczyźnie”. Tym szlachetnym, szczerym artystom ludowym łatwo nam będzie dziś pomóc.

Dotykamy tu o wiele bardziej poważnego zagadnienia: naszej pomocy i naszego wpływu na rozwój poczucia estetycznego wsi. Do dziś jeszcze blakają się po niej nieestetyczne landszafty — smutne dziedzictwo lat międzywojennych. W ludowych obrazach, które zdołaliśmy na konkursie zgromadzić, widać dążenie do szczeroci wypowiedzi, widać chęć osiągnięcia pełnego realizmu. Lecz i tu jest jeszcze dużo fałszywej stylizacji. Dlatego powinniśmy zastanowić się, co zrobila nasza zawodowa plastyka. Istnieje przecież spójnia, której symbolem — pióro i pędzel. Jako poważnym niedopatrzaniem w niej jest masowe produkowanie chociażby kart

imieninowych, ozdobionych wątpliwą wartości widoczkami.

Warto również przejrzeć pod tym kątem wysyłane na wies masowo produkowane makatki, estetyczną jakością masowo rozlepianych afiszów, okładki książek, które przecież mają zachęcić do czytania, do poznawania treści.

Sygnalizujemy to poważne zaniedbanie wobec urzekającego i rozwijającego się piękna sztuki naszego ludu.

Spojrzmy jeszcze na pozostałe działy: na wycinankę, haft i tkactwo. Uderza tu bogactwo ornamentyki, tak charakterystyczne w sztuce ludowej nawet i pozaeuropejskiej; najróżnorodniejsze przedmioty użytkowe mają tu bogate artystyczne wykończenie, wyznaczone przez tradycję i gusty określonego środowiska stylistycznego.

Przed tymi działami sztuki również otwierają się zupełnie nowe perspektywy rozwoju, wyznaczające określoną rolę pomysłowości i zdolnościom tkaczek, czy wycinankarek. Spojrzmy najpierw na wycinanki: Stanisława Bakulę z gminy kadzidlańskiej, młodą Konopkówną z kurpiowskiej spółdzielni w Tatarach wplatając w tradycyjne kurpiowskie „leluje” nowe motywy gołabka, czy — jak w wypadku Bakulę — obrazy z życia nowej, odrodzonej wsi kurpiowskiej. Widać jasno ogromną chęć do rozwinięcia, wzbogacenia dotychczasowej sztuki.

A jak jest w innych działach? Spróbujmy najpierw określić ich charakter. Pisze o nim w jednym z numerów „Polskiej Sztuki Ludowej” Bogucki: „wytwory plastyki kształtującej choćby były najświetniej wykonane — zawierają na pewno szerszy zakres ludności treści humanistycznej od malowideł... w obrazie bowiem można zamknąć sumę wiedzy o człowieku i świecie, dać wszechstronny wyraz swojej wewnętrznej postawie”. — To jest prawda. Nie można jednak zakopiących wzorów na chusty, kurpiowskich wycinanek, czy kaszubskich haftów traktować wyłącznie jako wykwit bujnej wyobraźni artysty, nie związanej z rozwojem życia. Sztuka ludowa nigdy nie odrzynała się od podłoża, na którym wyrastała; sięgając do jej historii, przekonamy się zawsze, że rzemiosło artystyczne odbijało te same treści i ideologię życia danej epoki. — I dziś jest nie inaczej. Jeżeli tak szybko zmienia się wycinanka łowicka, szybciej niż kurpiowska czy sanna, jeżeli w „kordach” Stanisławy Bogusz, Marii Pietrzak czy Zofii Wiechno pojawia się motyw odstawy zboża, radosnej pracy świetlicowej — to dzieje się tak dlatego, że maszynowa rolnicza zmienia życie łowickich rolników, podniosła poziom oświaty, stopień świadomości społecznej.

Budzi się wśród twórców ludowych potrzeba tworzenia czegoś nowego. Pomagając jej rozwojowi,

trzeba nam uwypuklić podstawową konieczność przemiany tradycyjnej sztuki ludowej, zaspokajającej dotychczas potrzeby wyłącznie własnego środowiska w artystyczne rzemiosło, służące ludziom pracy miast i wsi.

Jest to tym łatwiejsze, że motywy dekoracyjne są — mimo pozornie beztematyczności — głęboko związane z życiem i dzięki temu mają określony charakter realistyczny, co warunkuje ich funkcję w naszym społeczeństwie. „Jakie inne treści — pisze prof. Wojciechowski — jeśli nie głęboko ludzkie przeżycie, zrozumienie otaczającego go świata — towarzyszą naszym wiesniakom ze wsi Zallpie, które swoje tradycyjne malowanki starają się, wspólnie z plastykami, zastosować do nowoczesnych technik druków na materiale. Najprostsze rośliny wiejskie, spotykane na każdym kroku w Polsce dają im podniecie do przeżycia artystycznego, pobudzają wyobraźnię, pozwalają komponować ciekawe nowe projekty, które mówią nam o wsi, jej życiu, jej mieszkańcach”.

Wspólnie z plastykami — to właśnie określa taką współpracę, kolektywów, współpracujących z Instytutem Wzornictwa Przemysłowego; w rezultacie powinna ona doprowadzić do stworzenia określonego stylu naszej epoki, ujawniającego się chociażby we wnętrzach mieszkalnych, dekoracjach świetlic. Mamy tu już ogromne kroki za sobą. Postawiły je nasze tkaczki, zgłaszając w pierwszym okresie trwania konkursu chęć pracy nad nowymi pomysłami tkanin. W momencie przygotowywania nowego wzoru współdziałały ze sobą: twórcza inwencja tkaczek i troskliwa opieka Ministerstwa Kultury i Sztuki nie tylko w postaci stypendium pieniężnego, ale przede wszystkim fachowego poradnictwa. Wynikiem tego są nadesłane na konkurs: piękna purpurowa wełniana tkanina, wykonana przez Annę Kordecką z Myszyńca. Przystosowana do potrzeb świetlicy, wyglądała do wielu estetyczniej, niż zwykłe czerwone płótno. Zbyt wysoka jest jeszcze jej cena — ale i to jest problem do rozwiązania właśnie na drodze zmechanizowania procesu produkcji.

Wielu twórców ludowych obawia się perspektyw przejścia od warstwu rękodzielniczego — do maszyn; mają one rzekomo przekreślić wkład indywidualnej pomysłowości i artystów twórców. Ale jest oczywiście, że wytwórczość ludowa nigdy nie będzie równa z produkcją przemysłową. Jej rola będzie polegała na opracowaniu szlusznej metody twórczej, na wskazaniu właściwego źródła inspiracji. Poprzez wymianę doświadczeń i umiejętności między twórcami ludowymi i zawodowymi plastykami sztuka ludowa będzie mogła rozwijać się coraz pełniej, stając się sztuką ogólnonarodową.

Barbara Lipińska

IRENA MADEJSKA

ODRADZA SIĘ ZAGUBIONA SZTUKA

Kiedy do feudalnej wsi polskiej dotarł zwyczaj malowania na szkiele, pozornie nie było warunków dla przyjęcia się tej nowej sztuki. W naszym kraju sztuką niejako „samorodną”, zakorzenioną, posiadającą prehistoryczne tradycje — było drzeworytnictwo i garnarstwo. Nie działo się tak bez przyczyny. Ciemna i wyzyskiwana, pozbawiona przez pańskie rządy możliwości kształcenia swych zdolności, wies polska uprawiała taki rodzaj sztuki, jaki był jej najbardziej dostępny ze względu na swój nieskomplikowany charakter — a przede wszystkim tani.

Zrodzona we Włoszech, w bogatej Wenecji (posiadającej i artystyczne tradycje malarzkie i — co ważniejsze — rolnicze, wielki przemysł szklarski) sztuka „szklanych” malowideł była i skomplikowana, i kosztowna sztuką. Wymagała bowiem precyzyjnej sprawności malarzkiej i kosztownych materiałów twórczych (pędzel, farby, płytki szklane). Mimo to przyjęła się ona i rozpowszechniła w całym kraju. Ogniska jej skupiające się początkowo wokół wielkich ośrodków hutniczych (Szklarska Poręba, Jelenia Góra, Kłodzko) w miarę popularyzowania się szkła rozprzestrzeniły się po całej Polsce. Sztuka malarska na szkiele rozwinęła się szczególnie na Podhalu, nieco słabiej na Kaszubach i w Lubelszczyźnie, na Podlasiu i w Wielkopolsce, na Śląsku, w Kielecczyźnie (Ilza) w piotrkowskim.

Zachowane zabytki ludowego malarstwa na szkiele wskazują, że działalność artystyczna ich twórców szła w dwu zasadniczych, odrębnych kierunkach: i formalnie i tematycznie: malowano „Janosikowe mity” i obrazy religijne.

Motywy Janosikowe (Janosik skaczący przez ognisko, Janosik z wórem „zdobycznych” dukatów, Janosikowi chłopcy idący na zbrojnicowanie) to „import” z Czech. Nie trudno jednak odnieść przyczyny jego recepcji w Polsce. Gdyby sercu polskiego chłopca nie była bliska postać zbrojnika, jego motyw nie przyszedłby się na pewno. „Nie boję się pana ani jego mości, wozę siekieręczkę — porąbię mu kości!” — śpiewał ustami zbrojnika chłopci artysta, odmalowując z naturalistyczną niemal drobiazgowością broń, kołpaki, ubiory zbrojników — trofea zdobyte na „pandurach”, pańskich pacholce. Twarze zbrojników indywidualizował, nadawał im wyraz, cechy portretowe. Malowany na szkiele Janosik — to artystyczne odbicie tych nastrojów, buntów i nienawiści, które wyrażały się w wolnościowych ruchach Podhala, w postaniu Kostki Napierkiego.

Grupa druga — to piękne madonny, kolorowi święci. Wzoruując się początkowo na znanych przykładach, osiągnięciach drzeworytnictwa — „szklane” malarstwo rychło od swego pierwowzoru odchodzi. Realistyczne, smutne wzory drewnianych rzeźb, symbolizujące ciężką dolę chłopca — nie są właściwym wzorem dla sztuki posługującej się radosną, jaskrawą paletą barw. Dlatego im dłużej rozwija się malarstwo na szkiele, tym silniej na plan pierwszy wybijają się elementy dekoracyjne, tym częściej postaci świętych upodabniają się do geometrycznych wzorów sztuki sto-

sowanej (zachowana „Matka Boska Łęgowska” z Ilzy — to malenka, niedostrzegalna niemal figurka, nikaną wśród bogactwa bajecznie kolorowych, kilkakrotnie większych od niej kwiatów).

Sporadyczne, indywidualne próby zajęcia się „zagubioną” sztuką w okresie 20-lecia międzywojennego nie osiągały celu: — kapitalistyczny ustrój nie daje żadnych możliwości rozwoju sztuce, którą sam przecież niszczy.

Wkrótce po odzyskaniu niepodległości podjęte zostały próby zmierzające do odrodzenia zapomnianego malarstwa na szkiele. Przeprowadzono je tam, gdzie sztuka ta rozkwitała najbujniej, gdzie rozwijała się w najbardziej bojowej formie — na Podhalu.

W Zakopanem otwarty został kurs malowania na szkiele. Kierownikiem jest prof. J. Buczek z Krakowa — znawca i entuzjasta folkloru podhalańskiego. Pierwsza próba nie powiodła się — zgłaszają się tylko 3 osoby. Drugi „turnus” liczy „aż” 8 chętnych. Próba odrodzenia „zagubionej” sztuki wyraźnie nie „chwytła” chłopów. Nie jest to specjalnie dziwne. Na kurs werbowani są dorośli, dobrze pamiętający niepopłatność artystycznego „fachu” w okresie przedwojennym. Zorientować się w nowych warunkach i

artystkę, kierującą rozwojem zapomnianej sztuki.

Nowiejusze gorąco pomagają plastycy: zapoznają ją z zabytkowym malarstwem na szkiele, udzielają technicznych wskazań. Lata 1947—1949... Malarka tworzy dużo, ale obrazy jej nie wykraczają poza tradycyjne malarstwo Podhala.

Ideowy indyferentyzm jej sztuki ma głębsze powody, niż myślowe „obciążenia” przedwojenne, czy wpływ kopiowanych (często dla wprawy) zabytków.

Helena Roj-Kozłowska, eksperymentująca w dziedzinie nowej sztuki, w pierwszym okresie swej twórczości niewiele odbiega od grupy pozostałych koleżanek z kursu. Jeszcze „nie rozgryzła” nowej rzeczywistości, nie zna jej nowych treści — i dlatego jej postawa ideowa jest niezdecydowana, wczekująca...

Przeobrażenia, jakie dokonują się na wsi polskiej, ludzie idący ku lepszymu życiu przekonują ją powoli, że nie można dłużej lubować się abstrakcyjnością kolorowych plam.

Drugi etap w rozwoju jej twórczości cechować będą gorączkowe poszukiwania nowych treści społecznych: W obrazach „Dojenie owiec na hali”, „Pranie bielizny”, „Muzykanci” — wyczuwa się podświadome poszukiwanie zarówno nowych treści, jak i formy. Tematy obrazów czerpie artystka z życia, a tym rodzajem obyczajowym sce-

terów rewolucyjnego Podhala, walczących o sprawiedliwość społeczną. Od tych obrazów krok już tylko do „Elektryfikacji wsi” — obrazu wielkich przeobrażeń podhalańskiej krainy.

Nic więc dziwnego, że kiedy w 1951 r. ponownie podjęta zostaje próba odrodzenia malarstwa na szkiele, Helena Roj-Kozłowska jest kierownikiem artystycznym kursu zorganizowanego przez Ministerstwo Kultury i Sztuki.

Helena Roj-Kozłowska swą kierowniczą funkcję ograniczała do udzielania technicznych wskazań, zostawiając młodzieży zupełną swobodę w wyborze tematu. Co malują młodzi adepci sztuki? — Adepci mają po 12 lat i w otaczającej ich rzeczywistości wybierają to, co dla człowieka w takim wieku najmiłsze jest i najważniejsze. Tak powstają „Juhasi”, „Gra w piłkę”, „Kolarze”.

Smutna, realistyczna sztuka drzeworytów i radosna, nierealistyczna sztuka „szklanych” obrazów — mówią jak najwnikliwiejsza kronika o doli chłopca w feudalnej i kapitalistycznej wsi. Czyż malarstwo rólnołasków ludowej ojczyzny nie określa najlepiej życia chłopskich dzieci?

Kursy po dwóch miesiącach zakończono. Ale tym razem nawet



Napad górali pod wodzą Kostki Napierkiego na dwór starosty. Wydanie Kostki Napierkiego wojewodzie Szaniawskiemu malowała na szkiele Helena Roj-Kozłowska



możliwościach, jakie daje ludowa ojczyzna, jeszcze nie potrafia.

A jednak kurs ma swoje osiągnięcia; wylowiony bowiem zostaje wielki ludowy talent, prawdziwa „gwiazda” malarzka, córka małego rolnego gazdy zakopiańskiego, Helena Roj-Kozłowska.

Artystyczna atmosfera, z którą żyła się od dzieciństwa (jako mała dziewczynka przesiaduje „na gapie” na przedstawieniach teatru zakopiańskiego; ojciec opowiada jej o bywającym kiedyś w domu Rojów Kazimierzu Tetmajerze; współpracuje z Karolem Szymanowskim przy komponowaniu libretta do „Harnasiów”; pisze i reżyseruje sztuki góralskie, z którymi obejdują całą Polskę, gra nawet jako aktorka w nakręcanym przed wojną regionalnym filmie) — Wszystko w nakręcanym przed wojną regionalnym filmie) — Wszystko to stwarza warunki, by Helena Roj-Kozłowska wyrosła na wybitną

nom należy nadąć wiernie oddające jej formy. Polepszają się więc proste propozycje, kompozycje odzyskuje naturalność i swobodę. Artystka próbuje nawet wprowadzić realistyczne światło, a jaskrawe, dekoracyjne koloryt coraz częściej zastępuje kolorytem spokojnym odpowiadającym wiernie barwom malowanych przedmiotów.

Artystyczna działalność Heleny Roj-Kozłowskiej nie kończy się jednak na procesie tworzenia. Artystka pracuje w zakopiańskim muzeum etnograficznym w Łodzi. To „za wodę” związane się z postępowymi tradycjami ludowej ojczyzny aktywne uczestniczenie w budowaniu nowej kultury narodowej — decyduje o dalszym rozwoju twórczości. Sceny z życia Kostki Napierkiego pokazują nie tylko mityczne, napoły realne postacie zbrojników, ale prawdziwych boha-

tak krótkotrwała nauka „nie posłała w las”. Nowe warunki pozwoliły odzyskać zagubioną sztukę na nowo. Na konkurs pod nazwą „Higiena wsi” młodzi góralcy z Zakopana wysłali swoje pierwsze prace, stanowiące zarazem propagandę piękna odrodzonej sztuki. Tematyka tych obrazów to: „Zbiór owoców”, „Kopanie kartofli”, „Plan 6-letni”, „Traktory na polach”.

Helena Roj-Kozłowska i młodzi jej uczniowie nadesłali swoje prace na I Ogólnopolski Konkurs Twórczości Ludowej. Reprezentują one i dawną tradycję rewolucyjnych zbrojników, a w obrazach „Junacy na torze”, „Zlewnia mleka” pokazują nowe życie Podhalańszczyzny. Toteż zdobyli I nagrodę Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Irena Madejska

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

Uniwersał Czarnieckiego

Nasi historycy przygotowują obecnie kilka opracowań źródłowych poświęconych walkom narodu polskiego z najazdem szwedzkim w latach 1655 — 1660. Ukazują się one w 300- na rocznicę „potopu”. Tymczasem historycy wyprzedzili literaci. Oni w znacznym mierze spopularyzowali wśród szerokiego rzeszy czytelników zarówno postać Czarnieckiego — przywódcy chłopskiej partyzantki i dalszego wnikiwych, opartych na gruntownej znajomości epoki, obrazów chłopskiego patriotyzmu i bohaterstwa.

Mamy tu na myśli książkę: Władysława Rymkiewicza pt. „Rycerze i ciury” oraz powieść Stanisława Czernika — „Uniwersał Czarnieckiego”.

Czernik o wydarzeniach historycznych, ekonomii i obyczajowości epoki nakreślił życie wsi polskiej w okresie „potopu”. Przedstawił proces kształtowania się i ujawniania świadomości narodowościowej i patriotyzmu ludu polskiego.

Do Pogrzebienia — zapadłej wsi nad Sanem docierają wieści o chłopskiej wojnie ze Szwedami. Miejscowi chłopcy żywo reagują na te wiadomości z szerokiego świata, przygotowują się do walki. Aż pewnego dnia pojawia się sam Stefan Czarniecki. Rzuci hasło powstania.

Słyszeli chłopcy słowa uniwersału, aby „wstawczy z orężami swymi nieprzyjaciela niszczili i gdzie by się jeno pokazał, zadnemu nie folgowali, śmiercią złości ich nagradzając”. Chłopi masowo odpowiedzieli na apel. Rzucili wieś i poszli bronić ojczyzny, wypędzać wroga, przywracać „pohańbioną Polskę”.

Wydał się czytelnikowi, że na dalszych kartach powieści znajdzie on obrazy chłopskiej walki, że dowie się o losach oddziału przewoźnika Brakonia. Niestety. Wojna toczy się poza akcją powieści. Autor jedynie sygnalizuje jej ogłosy i pokazuje oddział szwedzki, który przeprowadza rekwiizycję, właśnie w dworzec pana Mniszka, chociaż Szwedzi przede wszystkim łupili chłopów, a oszczędzali dobrą szlachę.

Jest to tym dziwniejsze, że Mniszek jest zagorzałym zwolennikiem szwedzkiego panowania. Akcja powieści rozgrywa się wiosną 1656 roku, a więc już po powrocie Jana Kazimierza do kraju i po zawiązaniu konfederacji w Tyszwicach. W Małopolsce nie tylko chłopcy

ale wiosną 1656 r. nawet większość szlachty — właśnie pod wpływem masowego, ludowego powstania musiała zerwać z zabórcą. W tej sytuacji wojska szwedzkie oszczędzały każdego swego zwolennika, mszcząc się przede wszystkim na chłopach.

Autor postawił sobie za zadanie pokazać codzienne życie wsi oraz krystalizowanie się chłopskiego patriotyzmu. To mu się udało całkowicie. Wielek się zwyczaj, zabawy, dysputy w karczmie przepłatane współczesnymi piosenkami, wiaściwe epoki „powiedzonka” — pokazuje czytelnikowi charakterystyczne cechy umysłowości chłopskiej i rzadkie chwile odpoczynku. Jest to drobny wykład życia wiejskiego przytłoczonego ciężką harówką „na pańskim”. Nie zapomni też autor o codziennej pracy od świtu do nocy, przedstawiając różnorodne formy feudalnego ucisku i wyzysku.

Umiejętnie stylowany język, z rzadka używane zwroty i wyrazy staropolskie podkreślają walory prostego, poprawnego, a równocześnie obrazowego stylu.

Szkoda, że wydawnictwo nie dołączyło słowniczka wyrazów staropolskich lub chociażby przypisów objaśniających. Książka ta dotrze niewątpliwie do masowego czytelnika. Dla wielu ludzi ta kie wyrazy, jak delia, kaleta, lauda, re, susterie pozostaną słowami bez treści. Tak też będzie z nieprzełożonymi cytatai łacińskimi.

Oceniając powieść Czernika trzeba podkreślić, że pokazała ona wpływ, jaki wywarły na chłopów piomienne słowa uniwersału Czarnieckiego. Chłopi obronili kraj. Okazali patriotyzm i bohaterstwo, ale w ich ciężkim losie nie zostały żadne zmiany. Szlachta po wypędzeniu Szwedów umocniła swą władzę. Obroncy kraju musieli wrócić pod białą ekonomia. To pesymistyczne zakończenie jest podkreśleniem prawdy historycznej, że walka o wyzwolenie społeczeństwa musiała jeszcze trwać długo, aż znaleźli chłopcy sprzymierzeńca i przywódcę w walczącej klasie robotniczej.

Władysław Bortnowski

*) Stanisław Czernik — „Uniwersał Czarnieckiego” — powieść historyczna. Wydawnictwo MON 1953 r. str. 84, cena 8 złotych.

*) omówioną w Nr 48 „Wsi”.

STANISŁAW KRAKOWIAK

Budowa kina to początek, a teraz...

NIE spodziewała się nigdy Alicja Janiszewska będąc jeszcze uczennicą Szkoły Handlowej w Rokicinach, że za parę lat będzie sprawować bardzo ważną funkcję: funkcję kierowniczką kina stałego. Wtedy bowiem o kinie krążyły w Będkowie jeno słuchy. Od czasu do czasu zawiąły tu kino objazdowe — i tyle tylko było rozrywki.

Zazdrościli ludzie miasteczka i wsi ludzom miastowym światła i teatru, kina i innych urządzeń kulturalnych, tak urozmaicających życie starszych i młodzieży.

W maju czy czerwcu 1951 r. poszła po Będkowie i całej gminie niezwykła wieść: powstanie tam stałe kino! Można będzie zobaczyć w nim w ciągu roku 50 różnych filmów i tyleż kronik tygodniowych.

Budowa kina w osadzie Będków była zarówno dla będkowian, jak i mieszkańców gminy rewolucja. Bo po wojnie w tej gminie mało się zmieniło. Gdzieś indziej radiofonizowano wsie, zapalano się światło elektryczne, powstawały Ośrodki Zdrowia. W Będkowie było ciemno, głucho, po staremu. Co prawda, to ucząca się w szkołach młodzież i robotnicy dojeżdżający do fabryk w Piotrkowie i Łodzi napierali na prezydium i radnych — niewiele to jednak pomogło. Oczyszczony zarząd gminy i gminna rada narodowa z lat 1948—1949 nie godziły się na żadne zmiany. Nie chcieli „ojcowie” Będkowa światła elektrycznego, nie chcieli radia, telefonów. Chcieli mieć „święty spokój”.

Toteż latwo było pragnąć otwarcia kina, trudniej było z jego budową.

Traf chciał — a w Będkowie rzadko to się zdarza — że u steru władzy gminnej, jako sekretarz prezydium, zasiadł Antoni Feja, człowiek z otwartą głową, społecznik, rozumiejący wagę kina. Po długich namowach skłonił on do zabiegów o podjęcie budowy kina przewodniczącego Józefa Maciaszczyka. Pomogli w tym Feja, kierownik szkoły Emil Gernard i Leon Zajac. Wkrótce potem założono komitet budowy kina w Będkowie.

Budowa kina poruszyła całe społeczeństwo. Młodzież, działacze oświatowo — kulturalni, nauczycielstwo, wszyscy rozumni ludzie poparli inicjatywę sekretarza prezydium. Zaczęto zbierać składki, urządzić zabawy i sposobem gospodarczym gromadzić fundusze na urządzenie lokalu.

Pierwszy krok prezydium spotkał się ze zdecydowanym oporem zarządu gminnej spółdzielni Samopomoc Chłopska. Prezes Błażejowski w „trosce” o gminną spółdzielnię nie chciał ustąpić lokalu, w którym przechowywano wapno na „jakies tam kino”. Spór się przeciągał. Część radnych stanęła nawet za spółdzielnią, za Błażejewskim i za wapnem, a część (była ich większość) za kinem. Nieustępliwe stanowisko prezydium sprawiło jednak, że GS wywiozła wapno z sali; można więc było teraz przerobić ją na salę kinową.

Rozpoczęła się praca trwająca parę miesięcy. Pomagali w przebudowie sali pracownicy prezydium, poczyt, nauczycielstwo, młodzież z SP i ZMP. Można było widzieć ludzi, którzy doceniając sprawę, brali łopate w garść i pracowali; można było widzieć i takich, którzy zaglądali przez okno i straszili pracujących „sabotażem” i prorocztwami, że „nie z tego nie będzie”.

Mimo takich trudności w grudniu 1951 r. kino stałe w Będkowie rozpoczęło pracę. Mroki Będkowa przetrącała smuga elektrycznego światła z lampy projekcyjnej. Z tą padającą na ekran smugą potoczyły się obrazy kroniki i filmu.

Mija druga rocznica założenia ki-

na. Mało kto o tym myśli w Będkowie, gdyż wszystkim bywałom wydaje się, że istnieje ono od dawna i bez kina nie byłoby życia w osadzie.

I słusznie. Kino znalazło swoje miejsce w środowisku, tak jak znalazła miejsce apteka, spółdzielnia, szkoła. Zaspakaja ono wzrastające co miesiąc, co rok potrzeby kulturalne miejscowego społeczeństwa. Dwa seanse (w sobotę i niedzielę) jakie daje, cieszą się dużą frekwencją, zarówno pracujących w GRN, GS, gminnej kasie spółdzielczej i poczie, jak miejscowych i okolicznych chłopów.

Młode jest kino w Będkowie i młoda jest jego kierowniczka Alicja Janiszewska. Młodym jest personel techniczny w osobach agregatysty Mieczysława Grzybowski i me-

chanika Tadeusza Ryttycha. Potrzebna im jest opieka ze strony prezydium i władz oświaty i kultury.

Kino w Będkowie może i powinno wyjechać z filmem co tydzień do Woli Drzazgowiej, Rudnika, Prażek, Zamościa, Rzekowic. Tam czekają na nie chłopcy, dzieci chłopscy, młodzież.

Alicja Janiszewska — kierowniczka — mówi:

— Większość naszych mieszkańców ma w kinie piękną rozrywkę. Młodzież jak to było przedtem, przesiadała się po ulicach i przesiadywała w parku lub knajpie. Po filmie jest zawsze o czym mówić. Zmniejsza się dzięki temu ilość plotek. Ludzie znacząco spowalniają. — Przyjemnie jest w naszym kinie — mówi Walenty Muszyński. — Sala odnowiona, 99 miejsc siedzą-

cych, piękne filmy. Słowem: czuję się, jak w mieście. Pracuję w Piotrkowie, ale mieszkam w Będkowie. Gdyby nasza osada uzyskała światło elektryczne, nikt by z nas nie myślał o ucieczce do miasta.

Myśl o doprowadzeniu linii elektrycznej zapala umysły młodzieży i starszych. Wytykają oni śpiączkę miejscowemu prezydium i radzie, która nie robi nic, by sprawę elektryfikacji Będkowa i okolic postawić w powiecie i w województwie jako niecierpiącą zwłoki.

Prezydium GRN powinno wykonać zapał i chęci będkowian i pokierować nimi. Chodzi przecież o to, aby pełniej realizować w Będkowie program Frontu Narodowego i Tezy na II Zjazd Partii.

Stanisław Krakowiak
Rokiciny

LESZEK BAKUŁA

O KOLEKTYW CZYTAJĄCYCH

Hsło wzywające do konkursu, „Hszone przez ZSCH, to jak gdyby majowy deszcz, po którym jak grzyby wyrastają z szarej masy chłopstwa przodownicy czytelnictwa na terenie naszej gromady” — pisze Piotr Kindziuk z Dubin, pow. Bielski Podlaski. Te zdanie jest uogólnieniem doświadczeń, jakie autor zebrał w ciągu swych kilkuletnich pracy jako gromadzki organizator czytelnictwa.

W roku 1950 zorganizowane czytelnictwo na wsi stawiało pierwsze kroki. Brak było agitatorów książki. Z tego powodu nie można było otoczyć rzetelną opieką nowoorganizowanych czytelników. Ob. Kindziuk brał wtedy książkę pod pachę i wytykał ją wprost ludziom do ręki przy każdej okazji. Praca miała charakter indywidualny i ograniczała się do kilku osób, które nie czuły między sobą żadnej więzi.

W roku 1950, czyli w drugim etapie, stanęło przed organizatorami przede wszystkim zadanie zwiększenia ilości czytelników. Przy pomocy aktywniejszych udało się spośród nich zmobilizować 23 osoby. Formy pracy niewiele się jednak zmieniły.

Dopiero III etap konkursu w 1952 roku stanowił przełom: 60 chłopów pracujących i ich rodzin stało do czytania — podaje Kindziuk. Głównym zagadnieniem stało się teraz poszerzenie kręgu problemowego i tematycznego. Niektórzy czytelnicy szybko do tego dorastali. Ci, którzy w I etapie zaczęli od popularnych broszur, w etapie III dyskutowali już nad pozycjami z literatury pięknej. „Faraon” Prusa, „Marta” Orzeszkowej, „Ojczyzna” — Wasilewskiej i „Pamiętka z Celulozy” — Nowerlego są to najwięcej lubiane w Dubinie książki. Ich tytuły świadczą o szerokim kręgu za-

interesowań czytelników. Trzeba by rozszerzyć jeszcze ten krąg przez podawanie książek radzieckich, jak: „Zorany ugr” — Szolochowa i naszych współczesnych (choćby Brandysa „Człowiek nie umiera”).

Konstanty Wereniuk, młody zełtempowiec, po przeczytaniu „Pamiętki z Celulozy” zrozumiał, że gdyby nie władza ludowa, stałby pod bramą fabrykanta, jako bezrobotny — jak Szczesny. Nie przypadkowe jest to osobiste przeżywanie życia bohaterów utworu: porównywanie go z życiem własnym i życiem gromady — oraz wyciąganie z tego wniosków. Jest to cecha nowego czytelnika: myśli on o książce i poznaje przy jej pomocy piękno życia. Tak pisarze, jak i działacze kulturalni muszą mieć to na uwadze.

Wobec szybkiego rozwoju czytelnictwa w Dubinie nie wystarczył już jeden agitator. Kindziukowi pomagali najwięcej młoda nauczycielka Barbara Struńska i kierownik szkoły ob. Samojlik. Coraz częściej spotykamy się z zjawiskiem, że sami czytelnicy stają się agitatorami książki. M. in. należy do nich Jan Różkiewicz.

Tworzył się więc kolektyw agitatorów. Zorganizowani czytelnicy zespali się w drugi kolektyw. Oba zaczęły wspólna praca.

Praca kolektywu rozwijała się jako wynik dobrej i szerokiej pracy indywidualnej. „Książka stała się przysięgą, zarówno starych, jak młodych, mężczyzn i kobiet, spółdzielców i chłopów indywidualnych” — stwierdza Kindziuk. Stała się ona niewątpliwie jednym z czynników zespalaających gromadę w wykonywaniu zadań gospodarczych, politycznych i kulturalnych.

Na tę rolę czytelnictwa zorganizowanego w pracy bieżącej trzeba

zwrócić szczególną uwagę, dobierając lekturę i podsuwając w odpowiednim momencie celowo dobrane książki.

Ob. Kindziuk na zlocie przodowników czytelnictwa zobowiązał się zwerbować 50 osób. Po wykonaniu zobowiązania gromada, zorganizowana w 15 zespołach o łącznej liczbie 235 osób, wzięła udział w IV etapie konkursu. Tam, gdzie nie dało się kogoś włączyć do zespołu, wprowadzono indywidualne zgłoszenia. Kindziukowi nie wystarczyła już gromada jako teren działania; założył on 1 zespół w Lipinach i 2 zespoły w Nowogadach. Razem zwerbowano 280 uczestników, w tym 35 proc. kobiet. Obecnie każdy zespół ma swego kierownika i przodownika. Całe rodziny stały się przodującymi kolektywami czytelnictwa. Przykładem jest rodzina Wereniuków: Konstanty, Aleksy, Bazyli i Teodor; ostatni z nich, choć ma już 73 lata, wciąż dużo i chętnie czyta. Z kobiet wyróżnia się Zofia Lapińska czytająca razem z mężem Leonem. Z młodzieży Sergiusz Jurczuk (kierownik punktu bibliotecznego) i Michał Kejto. Gromada zainteresowała się bliżej ob. W. Jelski — przewodniczący wojewódzkiej komisji Konkursu Indywidualnego; często dyskutując indywidualnie z czytelnikami, dał dobry przykład pracy terenowej.

Po IX Plenum KC postanowiono więcej czytać książek fachowych, rolniczych, o uprawach, o hodowli, o pszczelarstwie itp. Pozwoli to na ściślejsze powiązanie czytelnictwa z zadaniami produkcyjnymi i rozbudzenie w młodzieży zainteresowania dla agronomii, agrotechniki, hodowli.

Wobec tak szerokiego wachlarza problemowego istnieją możliwości powstania wśród czytelników „grup zainteresowań”, ale tu trzeba by pomyśleć o stworzeniu różnorodnych działów w bibliotece. Byłyby to grupy punktem wyjścia dla systematycznego samokształcenia w obranej dziedzinie w kolach wszechnic radiowej, czy w kole miczurinowskim. W ten sposób jedna forma pracy kulturalnej stałaby się bodźcem do zaspokajania innej. Wydaje mi się, że na to trzeba zwrócić uwagę naszego aktywu.

W terenie rzadko kiedy istnieją w jednej wiosce i zespoły czytelnicy, i kółka wszechnic radiowej, i świetlica. W dużej ilości gromad panuje przeważnie jedna dobrze rozwinięta forma pracy. Dobry aktyw szerzej powinien starać się o to, żeby sprzyjała ona ukształtowaniu się innych form.

W terenie rzadko kiedy istnieją w jednej wiosce i zespoły czytelnicy, i kółka wszechnic radiowej, i świetlica. W dużej ilości gromad panuje przeważnie jedna dobrze rozwinięta forma pracy. Dobry aktyw szerzej powinien starać się o to, żeby sprzyjała ona ukształtowaniu się innych form.

Leszek Bakuła

Ze zjazdu miczurinowców w Krakowie

NA TRYBUNIE

EDWARD POCHROŃ

ADAM BARDZIŃSKI — to staryszek. Kiedy wszedł na trybunę — dla fotoreporterów cenny „okaz” — nie zażenowały go ani bliski magnes, ani ostre światło reflektora.

— Ja tam specjalnie wielkim miczurinowcem nie jestem. Ale mam osiągnięcia w wariacjach, to sobie myślę: a dlaczegożby nie miał po dzielić się moimi doświadczeniami? Zupelnie przypadkowo udało mi się wpaść na ładne odkrycie. Na wiosnę w rzędach między cebulą porzuciłem ziarna marchwi. Cebula nie wytrzymała suszy, a marchew wyrosła nad podziw.

— Przywiozłem, koleczy, rozmaite. Najmniejsza, o to waży 87 dkg. — Bardziński położył ją na stole przed prezydium. — O, ta już większa waży 115, a największa — 170.

Nie żałuję, że wyszła mi cebula, bo marchew zapłaciła stratę z dużą nadwyżką. Z 25 arów otrzymałem jej 20 kg. Stwierdziła to komisja.

— Gdyby zasiad marchew w rzędach 30 X 50 cm, tzn. 6 sztuk na 1 m kw., to przy wadze najmniejszej 87 dkg na 1 marchew, płon wyniosłby 525 kg z 1 ara, a więc 525 q z 1 ha.

Gleba jest przygotowana do najwyższych urodzajów, koleczy, tylko nasz umysł nie jest przygotowany. Możemy rozwijać produkcję rolną do nieskończoności.

„JA SZUKAM W GŁAB”

Władysław Turek siedzi na pięcioghektarowym gospodarstwie. Ziemia

w tej części powiatu brzeskiego jest najlepsza — buraki nie chcą się rodzić. „Nie chcą, ale muszą”. I rzeczywiście nikt w okolicy nie ma buraków, a Turek ma. Mało też sasiadzi sięja konczy, Turek sieje dużo. Sasiadzi zasiają zboże w jesieni i już więcej do niego nie zaglądają.

A Turek przeciwnie: wiosną bronuje, wzmacnia nawozami sztucznymi — i i nigdy nie narzeka na nieurodzaj. Albo głęboka orka z przedplużkiem. Niektórzy podśmiewają się z niego, że przemęcza konie. W Tworowej panuje jeszcze przekonanie, że im później kosi się siano, tym więcej otrzymuje się masy. Turek powiada na to:

— Bzdura — słomy w stodole nie chcą trzymać. Dlatego kosi siano przed zakwitnięciem. Turek na Zjeździe przedstawił jakie stosuje zabiegi agrotechniczne, aby uzyskać przeciętną wydajność z ha 18 q, aby mieć pod dostatkiem paszy dla 4 krów. Zakończył tak:

— Ziemia nie jest gumą i nie da się naciągać; więc ja szukam w głąb, bo wszczęć się nie da. A trzeba wiedzieć, że chłop ma największe zaufanie do chłopca, który mówi do niego codziennym językiem. Jest o tym przecie w referacie tow. Bieruta i w Tezach.

Na piersi Turka wisi srebrny krzyż, wstążka już wypłowiała.

— Za często go przypominam, bo w powiecie jest jeszcze mało produjących chłopów, więc wysyłają mnie

wszędzie. A właściwie jest ich dużo, tylko że nasze władze powiatowe i gminne, również służba rolna, nie wykrywają takich, a jak odkryją, to nie wyciągają na wierzch.

MUZYKALNA KROWA

Karol Solich ze wsi Pogrzebień (powiat rybnicki) zarumieniony z żarzenia, zaczął opowiadać słaskim dialektem o „karmie” i jak ją „zadawał”, żeby krowy dawały jak najwięcej mleka i bez uszczerbku w mleczności obrobiły mu pole. Zastanowił u siebie zieloną „taśmę” — i dlatego na 3 ha lichej ziemi może wyhodować 3 krowy, 1 jółwówkę i 4 tuczniki.

— Jo dbom o krowy, a i żona z córką tak samo. One jak doją, to nawet śpiewają. I krowy dają więcej mleka. Jedną nawet tak się nauczyła, że jak jej nie zaśpięwać przy udoju, to nie przypuści mleka.

Solich do 1945 roku był górnikiem i do gospodarstwa nie przykładał. Ale gdy już wyszedł z kopalni, kilot „zamienia” na plug. Zaczął czytać gazety; kupił sobie zeszyt, układał w nim wycinki z „Rolnika Polskiego” które nauczył go „mądrze gospodrować”. Ten zeszyt przechowywał do dzisiejszego dnia, choć korzysta już z podręczników naukowych. Z dawnego zawodu pozostała w nim proletariacka nieustępliwość. W omni — i to w gromadzie potrafi walczyć o słuszną sprawę; toteż sasiadzi mają do niego zaufanie. Po Zjeździe

będzie mu łatwiej spełniać zadanie miczurinowca-agitatora.

BOJOWNIK O OWOCOWE ALEJE

Jan Weselak z Urzejówek (pow. Przeworsk) — wysoki, bład, łysawy, pod pięgdiiesiątkę — mówił i przekonywał uszytych o słuszności sprawy, o którą walczy z zapalem 20-letniego młodzieńca. Po wojnie wziął się za warzywnictwo. Początkowo był osamotniony. Martwiło go, że u sąsiadów w ogrodach rosła pokrzywa. Wtedy postanowił walczyć, aby w Urzejówach na każdym domu było pod dostatkiem jarzyn dla kuchni i na sprzedaż. Każdemu kupującemu u niego cebulę czy pomidory Weselak dawał nasiona i mówił: — W przyszłym roku nie przychodź do mnie po jarzyny, bo ci nie sprzedam. Zasię sam. — Działca gromada zapopatrzyła okolicę w warzywa.

Weselak na Zjeździe mówił o drugim swoim marzeniu: o wykorzystaniu nieużytków na sady.

— Ileż to się maruje ziemi na przydrożnych szkapach! A u nas łzieci w ziemi nie widzą jabłek, a na rynku trzeba drogo płacić. Czyż nie stać nas na to, żeby wyprodukować owoców w bród. Ile mi bólu „prawda, gdy przechodzę po naszych łrogach i widzę, jak obok rosła „rzęski i jabłoni! Pomusiałem te „prawę w gminie, w powiecie, w kraju i w kraju! Ja jednak nie ustąpię i donne, że nie będzie u nas drogi nie obsadzonej drzewami owocowymi.

Edward Pochroń

Dr WANDA STĘŚLIKA-MYDLARSKA

Jak powstał człowiek

KAŻDA istota żywa ma niezliczony poczet przodków; jego początek sięga chwili powstania życia na Ziemi. Dlatego też, gdy ktoś zapyta, kim byli przodkowie człowieka — musimy się cofnąć myślą wstecz do czasów sprzed jednego miliarda lat. Wtedy bowiem skorupa ziemiska była już w takim stadium utrwalenia, że w gorących ówczesnych morzach mógł się rozpocząć proces wytwarzania rozmaitych związków chemicznych, które później weszły w skład ciał białkowych.

Życie powstało na Ziemi drogą rozwoju materii na podstawie praw przyrody, które rządzą ruchem materii. Aby mogły powstać organizmy żywe, musiały wprawdzie powstać białko, które jest zasadniczym budulcem istot żywych — roślin, zwierząt i człowieka. Białko jest bardzo złożonym związkiem chemicznym, zbudowanym zasadniczo z węgla, wodoru, tlenu, azotu i siarki. Życie jest pewną formą ruchu ciał białkowych; ale zarazem jest to nowa jakość, która zaistniała na kuli ziemskiej wtedy, kiedy powstały ciała białkowe.

Powstanie człowieka na Ziemi poprzedzone było długotrwałym rozwojem świata zwierzęcego, który przygotował pojawienie się człowieka. Nagromadzone tak dużo dowodów potwierdzających te fakty, że dziś nauka o ewolucji — wraz z nauką o zwierzęcym pochodzeniu człowieka (antropogeneza) — nie może budzić żadnych wątpliwości.

Gdy śledzimy dalsze dzieje naszych przodków, dochodzimy do czasów, kiedy pojawiły się na Ziemi pierwsze ssaki. Działo się to — jak wiadomo — stoilkadziesiąt milionów lat temu. Najprymitywniejsze zwierzęta ssące były drobne, niepozorne i pędziły życie lesne.

Tymczasem mijaly setki tysięcy i miliony lat. Nadszedł z kolei okres historii Ziemi, nazwany przez geologów trzeciorzędem. Na początku tego okresu, czyli mniej więcej 70 milionów lat temu, powstały w ciągu rozwoju świata zwierzęcego już wyższe rozwinięte ssaki, a między nimi grupa zwierząt obejmowana wspólną nazwą rządu Naczelnych. Do Naczelnych należały zwierzęta odznaczające się przede wszystkim chwytnością rąk, a przeważnie też stop oraz stosunkowo dużym rozwojem mózgu. Są to dzisiejsze małpki, małpy i istoty ludzkie.

Na początku trzeciorzędu istniały tylko małpki, które są swoimi przodkami wszystkich późniejszych Naczelnych. W zależności od warunków, w których te zwierzęta żyły, jedne z nich przekształciły się w dalszej ewolucji w formy wyższych Naczelnych, a więc w małpy i ludzi, inne zaś, które przeżywały stale w środowisku mało się zmieniającym, pozostały małpami i zmieniły się stosunkowo niewiele.

W połowie trzeciorzędu, w epoce zwanej miocenem, a więc ponad 20 milionów lat temu, żyły w Azji, Europie i Afryce wysoko rozwinięte Naczelne, przypominające swym wyglądem dziś znane małpy człekokształtne. Niosły one nazwę driopiteków, co oznacza dosłownie małpy leśne. Były to zwierzęta duże; ich wzrost wynosił przeciętnie około półtora metra. Tak duże zwierzęta przy wspinaniu się na drzewa musiały bezwarunkowo opierać stopy na niższych gałęziach, a rekami ciepłać się gałęzi wyższych, aby w ten sposób rozłożyć odpowiednią ciężar ciała. Wobec tego możemy wnioskować, że driopitek w swym życiu nadzwyczajnie przyzwyczajał się w ciągu długich pokoleń do prostej postawy ciała przypominającej nieco postawę ludzką. W związku z tym wytworzyło się u nich wyraźne zróżnicowanie czynnościowe między ręką a stopą.

W ciągu okresu trzeciorzędowego zaszły olbrzymie zmiany w ukształtowaniu skorupy ziemskiej, które radykalnie zmieniły warunki bytowania dla żyjących wówczas roślin i zwierząt. Wskutek powstania nowych gór, jak np. Alpy, Himalaje i inne, nastąpiło oziębienie klimatu. Wskutek tego na dużych obszarach azjatyckich i europejskich zaczęły zanikać lasy i wytworzyły się stepy. Jedynie w okolicach równinowych pozostały puszczę w dawnym swym zakresie i tam środowisko nie ulegało większym zmianom.

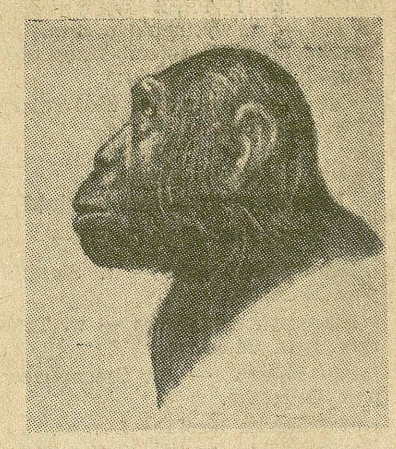
Jakie były skutki tych przemian środowiskowych dla żyjących wówczas driopiteków?

Otóż odłam tych zwierząt, który znalazł się w strefie równinowej, rozwinął się w dalszym ciągu w kierunku przystosowania się do życia nadzwyczajnego i z tego odłamu powstały drogi dalszego rozwoju dalsze małpy człekokształtne, a więc goryle, szympansy i orangutany. Natomiast drugi odłam driopiteków, który znalazł się w strefie przechodzącej z lasu w step, musiał się przystosować do zupełnie odmiennego trybu życia. Ponieważ zwierzęta te w życiu nadzwyczajnym były już w pewnej mierze przystosowane do prostej postawy ciała, więc też przy przejściu do życia naziemnego nie opadły na cztery kończyny, lecz zaczęły się coraz lepiej przystosowywać do dwunożnego chodu.

Dzięki temu, że naziemny driopitek stanął na dwóch nogach, mógł odtąd swę rękę wykorzystywać wyłącznie do manipulowania w zwią-

ku z pobieraniem pokarmu, obroną życia, poznawaniem otoczenia itd. W ten sposób powstały również przesłanki dla rozpoczęcia pracy rąk. Wyprostowanie grzbietu rozszerzyło ponadto ogromnie pole widzenia i zmieniło zarazem położenie jamy ustnej w stosunku do krtani. Wskutek tego ułatwione było wydawanie wielu dźwięków krtani, czyli zaistniały warunki dla powstania mowy.

Oczywiście ani praca ani mowa nie są zjawiskami biologicznymi, lecz społecznymi — nie wolno nam jednak pomijać tych biologicznych czynników, które przygotowały i umożliwiły pracę, mowę, myślenie i w związku z tym coraz większy rozwój mózgu.



Daleki przodek człowieka

Dwunożne małpy stepowe żyły gromadnie. W przeciwnym razie nie mogłyby się zachować przy życiu wobec wielu grozących im niebezpieczeństw w warunkach stepowych. Swobodne ich ręce sięgały coraz częściej po kamień, odłam skalny, gałąź, czy uprzednio ogryzioną kość, aby tych przedmiotów użyć jako narzędzia czy broni. Jedne przez podpatrywanie drugich uczyły się tych czynności, które do starszych małp były dotąd nieznanymi nowymi wzorami i podnieci. Cwiczyły w ten sposób mózg rozwijał się coraz więcej, a równolegle doskonaliły się ręce tworząc coraz sprawniejsze narzędzia chwytne.

Stosowanie surowych kamieni i kijów nie było oczywiście jeszcze pracą we właściwym tego słowa znaczeniu. Był to niejako etap przygotowania do właściwej ludzkiej pracy. Skok jakościowy, powodujący powstanie człowieka, dokonany został wraz z zapoczątkowaniem produkcji narzędzi pracy.

Celowa obróbka narzędzi powstała pod naciskiem konieczności. Nie wystarczyły bowiem surowe kamienie czy kije. Potrzebne były kamienie ostre, mające pewien określony kształt. Wymagało to jednak dużej pracy mózgu, aby sobie wyobrazić potrzebne narzędzie i potem za pomocą sprawnych rąk oblitować surowy kamień w taki sposób, by powstał właśnie ten potrzebny kształt. W chwili, gdy nieprawna jeszcze ręka wykonała pierwsze celowe obróbkę narzędzia, nie mamy już do czynienia ze zwierzęciem, lecz z człowiekiem. To doskonały sposób na ową skok jakościowy, o którym uprzednio była mowa.

Celowa obróbka narzędzi wykonywanych z kamienia, kości, rogu czy drewna powstała w rodnym społeczeństwie ludzkim jako zjawisko społeczne. W procesie pracy zespołowej, w której jeden członek kolektywu uczył się od drugiego, dzieląc się z nim nawzajem swymi doświadczeniami — powstała nieodparta konieczność porozumiewania się ze sobą nie za pomocą małych krzyków, ale za pomocą słów mających określoną treść.

Pod wpływem rozwijającego się języka słów zaczęła się coraz więcej rozwijać psychika człowieka i rozrastał się wciąż mózg — narząd myślenia. Język słów, czyli mowa ludzka, jest bezpośrednio związany z myśleniem. Język rejestruje i zatwierdza słowami i grupami słów tworzących całe zdania — wyniki pracy myśli ludzkiej związanej z pracą mózgu. W ten sposób umożliwione było porozumiewanie się człowieka z człowiekiem w rozwijającym się społeczeństwie ludzkim.

Nauka dziś udowodniła, że pod wpływem pracy kolektywnej ukształtowała się mowa, a wraz z nią coraz bardziej rozwijało się myślenie. Wszystkie te czynniki wiążą się z życiem społecznym ludzi. Wobec tego nauka twierdzi, że człowiek nie mógł powstać jako istota jednostkowa — człowiek powstał jako jednostka zbiorowa — jako gatunek żyjący społecznie. Inaczej w sposób naukowy nie można ujmować tego zagadnienia.

Człowiek jest nową jakościową przyrodzie. Jego rozwój odbywa się w warunkach życia społecznego, gdzie działają na niego praca i mowa i gdzie wpływ wywiera całe zdobyte przez pokolenia doświadczenie społeczne. W społeczeństwie ludzkim powstały przeto zupełnie nowe warunki współżycia społecznego, które są dowodem dokonującego się stałego postępu ludzkości.

Dr. Wanda Stęślika-Mydlarska

PIERWSZY OGÓLNOPOLSKI KONKURS TWORCZOŚCI LUDOWEJ

(dalsza lista przyznanych
nagród)
W dziale III — Malowidła
na szkle

Nagroda I Ministerstwa Kultury i Sztuki w wysokości zł 800.— za całokształt twórczości:
Helena Roj-Kozłowska — Zakopane.

Nagroda I ZSCh w wysokości zł 800.— za całokształt prac nadesłanych na konkurs:
Józef Hulka — wieś Lękawica, pow. Żywiec.

W dziale IV — Wycinanki

Nagroda I TPPR w wysokości zł 400.— za wycinanki o nowej tematyce z wyróżnieniem kompozycji Pałacu Kultury i Nauki:

Czesława Konopka — wieś Tatary, pow. Ostrołęka.

Wyróżnienia

Ministerstwa Kultury i Sztuki

w wysokości po zł 200.—

Bakula Stanisława — w. Strzałki, pow. Kądzido.

Prusaczyk Stanisława — w. Tatary, pow. Ostrołęka.

Fak Helena — w. Czarnotrzew, pow. Ostrołęka.

Strycharska Józefa — Łowicz.

Królikowska Maria — w. Zakoszele, pow. Rawa Mazowiecka.

Wyróżnienia ZSCh w wysokości po zł 200.—

Wawrykiewicz Janina — Łowicz.

Wawrykiewicz Teresa — Łowicz.

Bogusz Stanisława — Łowicz.

Pietrzak Maria — w. Biedów, gm. Jezioro.

Kordecka Anna — Myszyniec.

Kolczyńska Maria — w. Retki, pow. Ławicz.

Konopka Maria — w. Tatary, pow. Ostrołęka.

Ślwik Józefa — w. Zakoszele, pow. Inowódz.

Góral Maria — w. Zakoszele, pow. Inowódz.

Dobrzyński Ignacy — Stanisławów, pow. Lubartów.

W dziale V — Tkaniny

Nagroda I Ministerstwa Kultury i Sztuki w wysokości zł 500.— za tkaninę dekoracyjną przystosowaną do potrzeb świetlicowych:

Anna Kordecka — Myszyniec.

Nagroda II Ministerstwa Kultury i Sztuki w wysokości zł 425.— za tkaninę dekoracyjną:

Katarzyna Stelmach — wieś Rudno, pow. Kolbiel.

Nagroda II Ministerstwa Kultury i Sztuki w wysokości zł 425.— za tkaninę dekoracyjną „Droga przez wieś”:

Dominika Bujnowska — Węgrów.

Nagroda II Ministerstwa Kultury i Sztuki w wysokości zł 425.— za dywan podwójny „Szkoła”:

Felicja Jaroszewicz — wieś Janów, pow. Sokółka.

Nagroda III Ministerstwa Kultury i Sztuki w wysokości zł 250.— za tkaninę w „Kunosi”:

Sterczak Teresa — wieś Rzeczycza, pow. Rawa Mazowiecka.

Nagroda III ZSCh w wysokości zł 250.— za tkaninę dekoracyjną:

Florentyna Rzeczkowska — wieś Rzeczycza n. Pilicą, pow. Rawa Mazowiecka.

Nagroda III ZSCh w wysokości zł 250.— za tkaninę dekoracyjną:

Antonina Legutowska — wieś Rzeczycza n. Pilicą, pow. Rawa Mazowiecka.

Nagroda III ZSCh w wysokości zł 250.— za dywan podwójny „Państwisko”:

Władysława Balakir — wieś Nowe-Kolno k. Sokółki.

Nagroda III ZSCh w wysokości zł 250.— za dekoracyjną tkaninę welnianą:

Zespół tkaczy z Pilicy nad Rzeczyczą, pow. Rawa Mazowiecka.

W dziale VI — Koronki

wyróżnienia ZSCh po zł 150.—

Przybyciec Józefa — wieś Bobowa, pow. Gorlice.

Mabńska Emilia — wieś Wilczyńska, pow. Ostrołęka.

Góral Maria — wieś Zakoszele, pow. Rawa Mazowiecka.

W dziale VII — Ceramika

Nagroda I Ministerstwa Kultury i Sztuki w wys. zł 200.— za dzban i 4 miseczki:

Ruta Andrzej — wieś Medynia Głogowska, pow. Łańcut.

W dziale VIII — Intarsja

w drzewie

Nagroda I Ministerstwa Kultury i Sztuki w wysokości zł 200.—:

Filipowicz Marcin — Olsztynek.

Nagroda II Ministerstwa Kultury i Sztuki w wysokości zł 100.— za figurki w cieście:

Konopka Maria — wieś Tatary, pow. Ostrołęka.

Wśród Korespondencji

Aby lepiej kierować gromadą

O dlatęwoty sołtysa i jego współdziałania z aktywną gromadzką zależą w dużym stopniu realizacja zadań IX Plenum na wsi, wydobycie rezerw produkcyjnych w rolnictwie. Mówi o tym ciekawy list, jaki otrzymałmśmy od ob. Stanisława Pastuszka, ze wsi Benowo, gm. Ryjewo, powiatu kwi-dyńskiego.

Pastuszek dobrze zna swoją gromadę i sytuację, w jakiej wypadło mu pracować. Wie o tym, że wiele zależy od jego pracy w przeprowadzeniu takich akcji, jak np. skup zboża, siewy itp. Daje nam przykład: dopóki w sąsiedniej gromadzie Rudzin był dobry sołtys, gromada przodowała w skupie i kontraktacji; teraz wlezie się w ogonie, choć posiada lepsze zbiory i lepsze ziemie od gromady Benowo.

Benowo — to typowa wieś o średniej glebie i średnich możliwościach gospodarczych. Na 116 gospodarzy jest 43 do 3 ha, 13 gospodarzy powyżej 10 ha, dwóch — powyżej 20 ha. 75 proc. ludności — to autochtoni. Dużo jest rodzin chłopów-robotników.

W takiej gromadzie praca sołtysa nie jest łatwa. Ob. Pastuszek wyznacza sobie zwykłe, najpilniejsze zadania do przeprowadzenia: mianowicie — zadania organizacyjno-gospodarcze. W gromadzie już w 1948 r. zaczęła się regulacja gruntów. Nie jest ona przeprowadzona do dziś. Dlaczego? Czy to wina sołtysa? Nie. Staraj się on bezskutecznie o zaleźnienie tej sprawy na wszystkich szczeblach. Skutek? W 1952 przyjechał mierzniak i rozpoczął przeprowadzanie pomiarów. Ale wkrótce wyjechał. Powrócił dopiero w październiku br. Po paru dniach znów wyjechał i zapowiada się, że nie szybko wróci.

To dezorganizuje pracę sołtysa i GRN. Bo nie wiadomo dokładnie ile kto posiada ziemi; klasa też jest nie określona.

Dobra organizacja pracy — dobre wyniki

W naszej gromadzie brało udział w III etapie Konkursu Czytelników Wiejskich 106 osób. Byli to ludzie różnego pokroju społecznego, byli to chłopcy, dziewczyny i pracownicy umysłowi. Mieszkańcy naszej gromady to w większej części robotnicy pracujący w przemyśle i rolnictwie, których żony prowadzą gospodarstwo. Ludzie ci po skończeniu pracy zawodowej wiele czasu poświęcają pracy na roli, toteż mają bardzo mało czasu. Muszą oni dojeżdżać do pracy około 30 km pociągami. Przyśpieszenie koleją mamy na miejscu w gromadzie.

Należy podkreślić, iż nasza gromada liczy zaledwie około 400 mieszkańców; liczba 106 czytelników jest bardzo duża.

Wzorem III etapu Konkursu czytelników wiejskich w Rudziczce postanowiono przystąpić do IV etapu. Ważnym czynnikiem w organizowaniu konkursu jest znaczna ilość książek w bibliotece, odpowiadających zainteresowaniom czytelników. Ważną rolę spełnia też biblioteczka, którą znalazł natury czytelników, podsuwa im pewne książki wg zainteresowań. Mamy punkt biblioteczny, w którym jest 100 książek, oraz księżniczkę naszej biblioteki świetlicowej. Książek w bibliotece świetlicowej mamy około 400.

W roku bieżącym postanowiliśmy zwiększyć liczbę czytelników stających do konkursu. Wybrano spośród najaktywniejszych w świetlicy i w LZS-ie 12-tu kierowników grup czytelników. Postanowiono, iż każdy zbierze do swojej grupy 10 — 12 czytelników. W organizowaniu konkursu nie pominięto żadnej organizacji.

Na szczególne wyróżnienie zasługuje tu Ochotnicza Straż Pożarna, która jest najaktywniejsza na terenie naszej gromady. Komendant tej organizacji, bardzo zainteresowany konkursem, wciąga do pracy innych członków straży. Dotychczas niektórzy z kierowników grup zbierali już nawet większą ilość czytelników, zobowiązując się dostarczać każdemu odpowiedniej ilości książek.

W gromadzie Cierlina, gm. Prontnica, pow. Nowe Miasto jest, proszę was, zaczerpnięta studnia. Stoi na podwórzu Benedykta Langego, właściciela — jeżeli wierzyć gminnym dokumentom — 15 ha niezłej ziemi. Studnię zbudowali chłopcy jeszcze przed pierwszą wielką wojną, cała tedy gromada miała prawo czerpać z niej wodę. Ktoś jednak ze zwykłych śmiertelników mógł wiedzieć, że wraz z chwilą, gdy pan Benedykt

stawił na kilograma ziarna? Na wodzie pojawiła się znowu twarz pana Benedykta. I pozostała przy wszystkich następnych pytaniach: kto hamuje skup zboża, ziemniaków i mleka? Tyle tylko, że pan Benedykt raz liczył pieniądze, raz ręce zacierał z radości, to znowu uśmiechał się.

Jedynie po ostatnim pytaniu obraz na wodzie zmienił się. Łodziowska zapytała mianowicie: jakich przyjaciół ma pan Benedykt? W tym czasie wody ukazały się postacie niektórych Prezydium GRN w Prontnicy. To stanowiła sala gospody GS-u. Na stole butelki i „zagrychka”. I pan Benedykt się zjawiał. Rozlał wódkę, poklepał tego i owego po plecach, wzniósł następnie jakiś toast.

Nie wierzyć? Spytajcie chłopów, bez zagładania do studni.

Jan Biegała
(Na podstawie listu mieszkanka Cierliny. Nazwisko znane Redakcji).

Ob. Pastuszek nie pisze o pracy kulturalnej na wsi, o czytelnictwie, świetlicy, szkole. Te sprawy powinny go, jako sołtysa, bardzo obchodzić. Tym bardziej, że wieś składa się z przeważnie z ludności autochtonicznej, z którą aktywnie kulturalny powinien wiele pracować nad książką, gazetą, przez pogadanki i odczyty. Te zadania stoją przed nim i wsią.

Korespondent pisze poza tym, że w roku bieżącym zbiory były nieco gorzej (w omych — około 20 proc.). Ale zdaje sobie sprawę dlaczego tak było. Oto pod zasiewy na wiosnę była stosowana tylko orka wiosenna. Nie była przeprowadzona akcja podorywek jesiennych. To wpłynęło na zbiory zbóż jarych.

Ob. Pastuszek nie pisze o pracy kulturalnej na wsi, o czytelnictwie, świetlicy, szkole. Te sprawy powinny go, jako sołtysa, bardzo obchodzić. Tym bardziej, że wieś składa się z przeważnie z ludności autochtonicznej, z którą aktywnie kulturalny powinien wiele pracować nad książką, gazetą, przez pogadanki i odczyty. Te zadania stoją przed nim i wsią.

Praca kulturalna wymaga wiele poświęcenia; czasem trudno ludzi namówić do czytania książek. Duże zasługi w przełamaniu tych trudności mają przewodnicy czytelnictwa; jest ich na terenie naszej gromady wiele. W III etapie odznaczono 4-ech. Złotą Odznaką Przewodnika Czytelnictwa, 8-miu srebrną i 5-ciu brązową. Nieraz przewodnicy zanoszą książki do domów tych, którzy już czytają „na zachęte”; zostawiają je też u tych, którym książka jest jeszcze obca; nieraz stają się z nich aktywni czytelnicy.

Czytelnictwo książek rolniczych przyczyniło się w niemałym miarze do tego, iż w czerwcu br. założona została na terenie naszej gromady spółdzielnia produkcyjna; jest jeszcze bardzo młoda, lecz rolę jej bardzo dobrze nadaje; dowodem tego jest przedmiotowe wykonanie zasiewów i prac jesiennych.

To co napisałem, nie znaczy, iż w naszej gromadzie nie napotyka się trudności w pracy kulturalnej. Nasza świetlica gromadzka mieści się w dwóch normalnej wielkości pokojach w budynku należącym obecnie do spółdzielni produkcyjnej. Trudno jest więc zorganizować jakąś większą imprezę. Brak miejsca na zbudowanie sceny nie pozwala na ćwiczenia sztuk teatralnych.

W najbliższym czasie nasza straż pożarna ma zamiar budować nową remizę z salą, w której będzie można organizować przedstawienia, zebrań i inne imprezy.

„Książka to mój przyjaciel” — hasło to jest w naszej gromadzie zrozumiałe prawie przez wszystkich obywateli. Pragnienia Adama Mickiewicza o zbliżeniu książki pod chłopską strzechę urzeczywistniły się w Polsce Ludowej.

MORKISZ LUDWIK

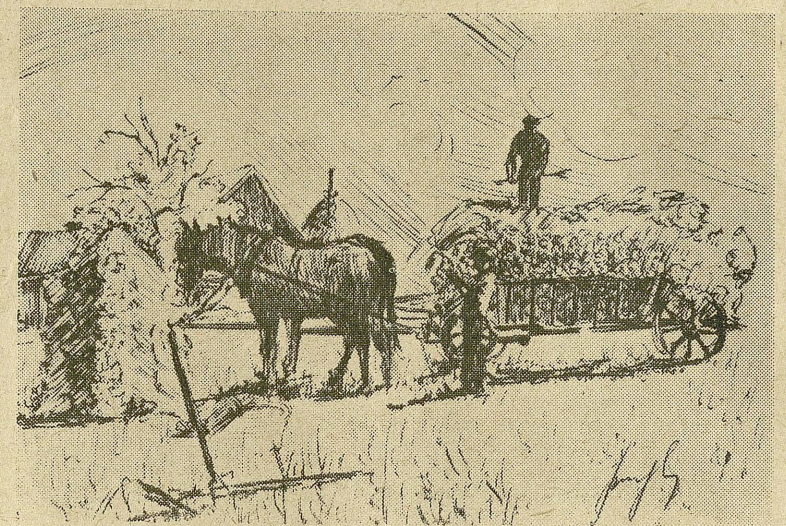
Rudziczka, pow. Pszczyna

RYSUNKI JÓZEFA NYKIELA

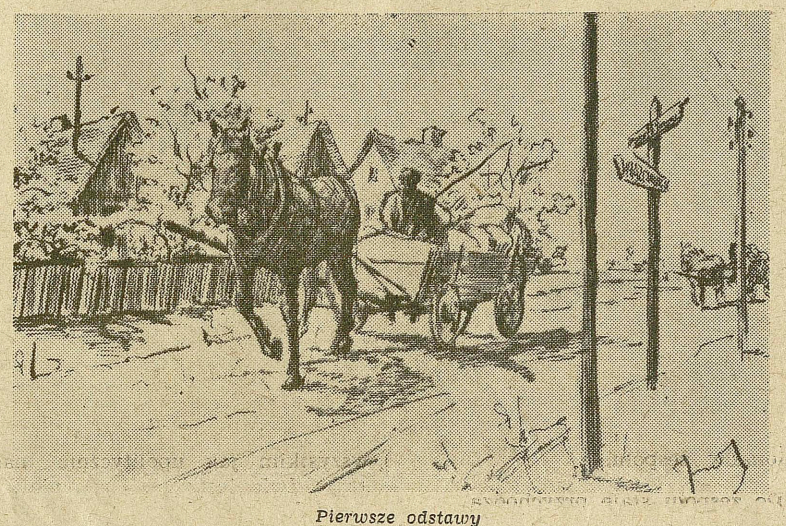
ze wsi Szówsko pow. Jarosław, wykonane w czasie wakacji — przedstawiają prace w polu w jego rodzinnej wsi.



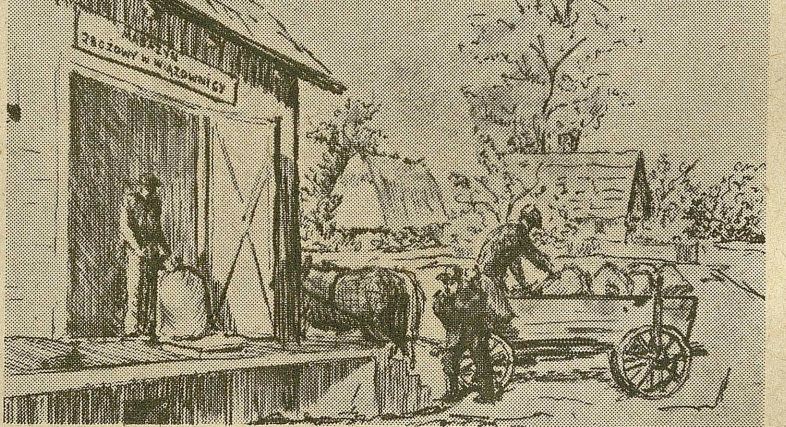
Złtwa



Śniadokosy



Pierwsze odstawy



W spółdzielczym magazynie

Kronika kulturalna

Wszyscy kochamy śpiew. I żałujemy, że twórczość autorów współczesnej pieśni masowej nie wszędzie dziś jeszcze dociera. Cieszymy się za to, że dawna pieśń ludowa, wylęgana przed wojną przez melodie i słowa piosenek kabaretowych, wydobyla się obecnie z głuszy zapomnienia. Identyfikacja ludowej poezji ma znaleźć właściwe miejsce w naszym stałym repertuarze; powinna stać się na nowo pieśnią powszechną.

W wyborze najlepszych pieśni pomoże Wam wydane ostatnio przez Państwowy Instytut Wydawniczy w opracowaniu Juliana Przybosi, antologia polskiej pieśni ludowej „Jabłoneczka”. Zawiera ona 674 pieśni wybrane spośród dwudziestu tysięcy pieśni ludowych zapisanych w ciągu przeszło 100 ostatnich lat. Są to pieśni najpiękniejsze i pod względem artystycznym i ideologicznym: liryczne i epiczne, bujownicze, obrzędowe i miłosne, taneczne, pasterskie i żołnierskie itp.

W wyborze reprezentowane są wszystkie dziedziny etnograficzne Polski. Oprócz zachowanych właściwości gwarowych podhalańskich i kaszubskich oraz kilku pieśni w gwarze mazowieckiej i śląskiej, teksty pieśni podane są w języku literackim, zrozumiałym i dostępnym dla wszystkich.

„Jabłoneczka” powinna znaleźć się w każdym zespole śpiewaczym, tanecznym i orkiestralnym, w każdej świetlicy. Powinno o to zadbać nasz aktyw kulturalno-oświatowy.

C oraz szerzej rozwija się w naszym kraju współzawodnictwo dla uczczenia II Zjazdu Partii. W podejmowanych zobowiązaniach nie zabrakło także wieloletniej aktywności w terenie. Bardzo często jest on inicjatorem tych zobowiązań. Np. członkowie zespołu artystycznego z gromady Pieszkowo (pow. Górowo Iławeckie) pierwsi w gromadzie zobowiązali się do przeprowadzenia kursu języka rosyjskiego, umasowić szeregi TPPR i pomóc w pracy kołom TPPR-owskim w okolicznych gromadach. Poza tym zespół artystyczny z Pieszkowa zobowiązał się do prowadzenia kursu kulturalno-oświatowego i masowo-politycznego, rozszerzyć jej formy — przyciągnąć do świetlicy wszystkich mieszkańców gromady. Zespół wezwał do współzawodnictwa wszystkie zespoły artystyczne w powiecie iłowskim.

Dotychczas na wezwanie odpowiedział zespół amatorski z grom. Grotowo. Członkowie tego zespołu zorganizują zespół czytelnicy, który weźmie udział w IV etapie konkursu czytelnictwa.

Należy się spodziewać, że apel zespołu artystycznego z Pieszkowa nie zostanie bez echa u pozostałych zespołów w powiecie iłowskim.

Radiowęzeł w Puławach (woj. lubelskiej) włączył się do ogólnej akcji skupu. Chłopi stale otrzymywali wiadomości o przebiegu i stopniu wykonania obowiązkowych dostaw we wszystkich gromadach powiatu. Radiowęzeł puławski systematycznie pletnował opornych kulków, przestawiając im palącą postawę chłopów mało- i średnio-rolnych, którzy przed terminem w stu procentach wywiązały się z obowiązkowych dostaw dla państwa. Puławski radiowęzeł mobilizował także aktyw świetlicowy w poszczególnych gromadach, aby w pełni włączył się do skupowej kampanii. Nic dziwnego więc, że powiat Puławski, jako jeden z pierwszych w województwie, został zwolniony od miarek i odpisów.

Natomiast radiowęzeł w Hrubieszowie w czasie kampanii skupu w swoim lokalnym programie zamieszczał suche komunikaty (o zaginionym inwentarzu, o mającej się odbyć zabawie itp.). O skupie wspominał tylko dwa razy. W rezultacie powiat Hrubieszowski wleź w ogień w akcji skupu sabotowanego przez kulaków.

Członkowie komitetu redakcyjnego radiowęzła w Hrubieszowie — wyciągnęli dla siebie wniosek z tych dwu przykładów.

Najwyższy czas włączyć się do roboty.

W PGR-ach w Niehrybkach (pow. Przemyski) jest świetlica dobrze wyposażona w potrzebne materiały do pracy świetlicowej. Za 7 tysięcy złotych, którymi świetlica rozporządzała w tym roku, zakupiono szafę, radio, stoły, krzesła oraz potrzebne materiały świetlicowe. Przeszkolono na 6-tygodniowym kursie kierownika świetlicy. Istnieją więc takie warunki do pracy świetlicowej, jakich nie ma w innych PGR-ach.

Niestety — praca świetlicowa w PGR Niehrybka nie rozwija się. Świetlica nie interesuje się w ogóle ani organizacją partyjną, ani koło ZMP-owskie. Nie ma ona żadnego planu pracy. W świetlicy dotychczas nie zorganizowano żadnego zespołu czytelnictwa lub artystycznego, ew. redakcyjnego. Od czasu do czasu wychodzi wprawdzie gazетка scienna. Jest ona jednak redagowana wyłącznie przez kierownika świetlicy.

Zadnej pomocy świetlicy nie udzielił dotychczas ani Zarząd Powiatowy ZMP w Przemysku, ani dyrekcja PGR-u. W PGR Niehrybka nikt nie wie, co to jest, gdyż nie ma w nim biblioteki. Widocznie zapomnieli o nim także powiatowa biblioteka. Cóż dziwnego, że i wyniki pracy produkcyjnej PGR-u są nienajlepsze.

Obudzić się pegerowcy z Niehrybek! Apelujeśmy szczególnie do młodych ZMP-owców. Macie być przecież w przyszłości najlepszymi gospodarzami PGR-u. Przecież pragniecie, żeby Wasze życie było coraz lepsze, piękniejsze i szczęśliwsze. Patrzy na Was młodzież z okolicznych indywidualnych gromad. Macie być dla niej wzorem.

SEW.

NOWOŚĆ

JANUSZ PRZYMANOWSKI

**Żołnierze
czterech rzek**

„...A ty się nie śmiejesz, Wołodya.

Będą o żołnierskim pieszczu poematy, powieści pisać, będą...”

Może i o tobie napiszą...”

Barwna, interesująca powieść o żołnierzach I Armii Ludowej Wojska Polskiego.

Stron 440

Cena zł 21,80

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

K 15375-1

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL

Redaguje Komitet

Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 8-00-81.

Adres redakcji: Warszawa, pl. Starynkiewicza nr 13, tel. 70.

Telefony: Red. Nacz. 8637-86, Redakcji 870-61, wewnętrzny 17, 42, 70.

Wzrost — 460 zł, kwartał — 13,80 zł, półrocznie — 27,60 zł, rocznie — 55,20 zł. Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.

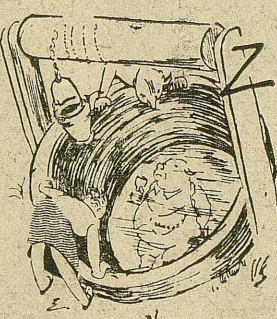
RSW „PRASA”, Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5.

4-B-22174

Gazetka gminna

Zaczerpnięta studnia

O nierządna Policzno!



o obejmie gospodarstwo, woda zyska cudowne właściwości?

Spróbujcie bowiem teraz zaczerpnąć wody ze studni. Będzie się Wam wydawać z całego wiadra. Chyba? Chyba, że zobowiązacie się do odrobku dwóch dni na polu pana Benedykta. Z chwilą przejęcia zobowiązania, woda przestaje kłopotliwie, gładko się do naczynia wlewa.

W księżycowe wieczory, kiedy światło pada wprost na wodę, studnia odpowiada na pytania, zgaduje ludzkie myśli. Nie do wiary: przytrafił się jednak taki cud Irenie Łodzińskiej. Przyszła w jasny wieczór do studni i myślała, czyja to własność — owe 25 ha nie-uzyskanych, przynależących gromadzie ogromny dyshonor? Na wodzie ukazała się uśmiechnięta twarz Benedykta Langego.

Wobec tego zapytała kto w gromadzie dzierżawi ziemię, z której nie od-

stawia ani kilograma ziarna? Na wodzie pojawiła się znowu twarz pana Benedykta. I pozostała przy wszystkich następnych pytaniach: kto hamuje skup zboża, ziemniaków i mleka? Tyle tylko, że pan Benedykt raz liczył pieniądze, raz ręce zacierał z radości, to znowu uśmiechał się.

Jedynie po ostatnim pytaniu obraz na wodzie zmienił się. Łodzińska zapytała mianowicie: jakich przyjaciół ma pan Benedykt? W tym czasie wody ukazały się postacie niektórych Prezydium GRN w Prontnicy. To stanowiła sala gospody GS-u. Na stole butelki i „zagrychka”. I pan Benedykt się zjawiał. Rozlał wódkę, poklepał tego i owego po plecach, wzniósł następnie jakiś toast.

Nie wierzyć? Spytajcie chłopów, bez zagładania do studni.

Jan Biegała

(Na podstawie listu mieszkanka Cierliny. Nazwisko znane Redakcji).

Czy ob. Jakubiec „wyzwoli się”?

Rzecz będzie o tym, w jaki sposób ob. Jakubiec — sekretarz prezydium GRN w Ostreszowie, pow. Kępno, „wyzwalał się” z pt. własności i tysięcy kłopotów, związanych z posiadaniem. Jakoś w 1949 roku przytrafiło mu się nieszczęście. Odziedziczył po swoim teściu Strzeżniaku gospodarstwo wielkości 15 ha. Uprawać ziemię, hodować krowy i świnki, świadczyć na rzecz państwa, troszczyć się o maszyny, płacić podatki — za dużo to kłopotów jak na głowę ob. Jakubca. Tak więc postanowił „wyzwolić się” z trosk. Maszyny i inwentarz sprzedał, cegły z zabudowań gospodarczych także, a ziemię tak zapuścił, że przypominała ugor, nie tkniętą ręką człowieka od wieków.

Nie na tym koniec „wyzwalania się” ob. Jakubca. Bądź co bądź zostało mu 3 ha ziemi, jako tako uprawianej. Niezależnie od tego, że przepisał je na żonę, nie chcąc mieć nic wspólnego z własnością, rozpoczął równocześnie „uwalnianie się” od obowiązków wobec państwa. Zmniejszał sobie np. dostawę

Kazimierzowi Kucowi z Czarnolasu, pow. Koźnica przydarzyło się w ostatnich miesiącach wiele przykrości. Zaczęła mu krowa i co gorzej zaczęła, można ją było wprawdzie uratować. Cóż kiedy należało wykonać decydujące zabiegi lecznicze w niedzielę, kiedy ob. Leżuchowski — lekarz weterynaryj z Garbarki, akurat świętował. Upadek krowy nie był przewidziany w GRN, nie tedy dziwnego, że Kuc został napiętnowany, jako oporny w dostawie mleka. Napisał prośbę o zwolnienie z dostaw mleka, ale podanie zginięło, trzeba więc było zapłacić karę i jeszcze raz wnieść prośbę.

Działo się to w okresie wykopków, kiedy do Czarnolasu zjechała szeroko przez GRN reklamowana koparka. Kuc zgłosił się po maszynę. I spotkała go nowa nieprzyjemność. Za dzień pracy zażądano od niego 36 zł plus — 8 godzin odrobku. Od tego momentu kłopoty Kuc dzieliło już wielu chłopów z Czarnolasu.

Licząc przeciętnie, każdy z nich otrzymał 4 monety, wzywające do natychmiastowego uregulowania obowią-

ków wobec państwa. Monity nadchodziły co kilka dni. Trzeba było za każdym razem biegać z kwitami do GRN-u